SKAUT

CZUWAJ!

CZASOPISMO ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO NA WSCHODZIE



ROK IV NR 1-2

STYCZEŃ - LUTY 1945

TREŚĆ

NA FUNDUSZ WYDAWNICZY ZHP NA WSCHODZIE **wpłacili:** Kunc Zygmunt Ł. P. 0.500 — Garmulewicz Bogusław Ł. P. 0.712 — Krąg Fryca Ł. P. 0.188 — Młodnicki Zbigniew Ł. P. 2.000 — Wróblewski Józef Ł. P. 3.000 — Borodako Gabriel Ł. P. 2.000 — K. P. H. Teheran Ł. P. 60.683 — ppor. Korzeniowski Ł. P. 1.900 — Boruszewski Władysław Ł. P. 0.500 — Szybisz Władysław Ł. P. 1.000 — Krąg Kresowiaków Ł. P. 4.000 — Gabzdyl Karol Ł. P. 1.000 — Stec Jan Ł. P. 2.000 — Kozioł Ignacy Ł. P. 0.700 — Ks. Olkiewicz Alfred Ł.P. 1.000 — Hufiec w Ifundzie Zofia Nieć Ł.P. 4.300 — Liptak Jan Ł. P. 1.000 — Drzemczewski Stanisław Ł. P. 0.700 — Dussil Zdzisław Ł. P. 0.500 — Kpt. Pawlak Ł. P. 1.700 — Dyr. Pol. Y. M. C. A. p. Hulanicki Ł. P. 100.000 — kpr. pdch. Jaskorzyński Zdzisław Ł. P. 1.000 — phm. Kołodziejski Zdzisław Ł. P. 0.400 — phm. Kaczorowski Ryszard Ł.P. 0.400 — ppor. Wachowski Alfred Ł. P. 1.000 — dh Wielecki Paweł Ł. P. 0.800 — Hufiec Valivade - Indie Ł. P. 6.000

REDAGUJE KOMITET W SKŁADZIE:
hm. Józef Brzeziński, hm. inż. Bronisław Pancewicz,
hm. dr Wiktor Szyryński, hm. Józef Żuromski

Redaktor działacz harcerski Stanisław PANEK

Linoryty: artysta malarz Tadeusz TERLECKI

WYDAWCA: ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO na WSCHODZIE

ADRES: Polish Forces Middle East 10

Zasięg: IRAN — AFRYKA — INDIE — NOWA ZELANDIA — EGIPT — PALESTYNA — SYRIA — WŁOCHY

Odbito w Drukarni oo. Franciszkanów w Jerozolimie. Dyrektor oo Franciszek



OBRONA SZTANDARU POWSTAŃCÓW W STYCZNIU ROKU 1863

*I poszli. Puszcza śpiewa
i gra poważny las,
sztandarem wiatr powiewa,
kołysze raz po raz.
A pod sztandarem garstka
bijących, żywych serc
i szańcem dla sztandaru
ofiarnej młodzi pierś.
Dygoce grozą puszcza,
poważny szumi las,
moskiewskie biją kule
w powstańców raz po raz.
W sztandarze Matka Boska
drży o powstańców los,
z Jej oczu łzy spływają,
jak wielkie krople ros.
Krew płynie, świszczą kule,
lecz sztandar w górze tkwi,
upadnie, chyba jeno
z ostatnią kroplą krwi.
W rozpacznej może chwili,
gdy raz zachwieje się,
czyjeś go zerwą ręce,
na wierną skryją pierś.
Uniesie żołnierz-tułacz
przez bitew zgiełk i gwar
zerwany strzęp sztandaru,
jak najcenniejszy skarb.*

W. MALICKA

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

POWSTANIEC

Długie lata mówiło się u nas: „powstaniec",
Czyli wolność i walka, półszepty i troski,
Warszawa podchorążych, rogatki i szaniec,
Małogoszcz, gdzie się rąbał z Moskalem Czachowski.

Gdy tylko drogi w słotnej rozmokły jesieni
A ptak gdzieś w nocy krzyknął, słuch Polak otwiera —
Wiedzieliśmy z dzieciństwa: zapuka ktoś w sieni
I wejdzie nieznajomy z obrazu Grottgera.

Ballada czy testament, cokolwiek to było,
Jak przeraźliwie dzisiaj odgrzebać te leża,
Gdzie stary proch butwieje pod leśną mogiłą
I młoda kość odpada spod hełmu żołnierza.

Jak trudno — ach, daremnie tłumaczyć to komu
Skąd matki w nas tę siłę przeniosły bezwiedną,
By, gdy już wszystkie drogi nam zamkną do domu,
Nie przestać dalej szukać i wejść jeszcze jedną.

Osaczonym, co przeszli pół ziemi swą stopą,
Dziś nam znów się zwoływać i szukać gdzie szaniec;
Śród głuchej puszczy świata, zdradziecką Europą
Chodzić Polsce jak lasem jej chodził powstaniec.





WICEPRZEWODNICZĄCY RADY
ZHP NA WSCHODZIE

GAWĘDA

Walka o wolność gdy się raz zaczyna
z ojca dziedzictwem przechodzi na syna

Było to dwadzieścia pięć lat temu. Po sześciu latach wędrówki po Rosji i ciężkich zmaganiach o życie, znaleźliśmy się wreszcie w swoim domu.

A chociaż nie walczono na frontach, to jednak czasy były niespokojne. Drobne utarczki zbrojne na wschodniej granicy Odrodzonej Polski były zjawiskiem codziennyn.

Wolno i z wielkim wysiłkiem dźwigała się Polska z długoletniej niewoli i w największym trudzie leczyła rany, zadane Jej przez toczącą się na naszych ziemiach wojnę.

Było to dawno. Jednak tamte czasy stają mi przed oczami bardzo żywo tak, jakby to było wczoraj.

Zima roku 1921 była w pełni. Śnieg grubą warstwą pokrył pola a drzewa gięły się pod jego ciężarem. Mróz srogi panował wszechwładnie

W domu zawsze było ciepło i pogodnie. Na kominku wesoło palił się ogień, przed którym siadywał stary dziadek, wpatrzony w jego złote płomienie.

Codziennie, kiedy skończyłem odrabianie lekcyj i inne zajęcia w obejściu, przychodziłem z bratem do dziadka. Siadaliśmy przy kominku, a on opowiadał nam historię swego udziału w powstaniu 1863 roku.

Kiedy mówił o tamych odległych czasach, ożywiał się bardzo, a choć był już stary wyglądał młodzieńczo tak, jakby to, co mówił, działo się zaledwie kilka dni temu.

Słuchaliśmy tych opowiadań w głębokim skupieniu. Zapatrzeni w twarz opowiadającego, chłonęliśmy każde jego słowo, bojąc się poruszyć, aby nie spłoszyć tych obrazów, które przed nami stawały jak żywe.

Po prostu przeżywaliśmy wraz z nim jeszcze raz to wszystko, co on kiedyś sam przeżył, co kiedyś swym wysiłkiem młodzieńczym tworzył.

Cieszyliśmy się, kiedy powstańcy odnosili swycięstwo i smucili, kiedy przebieg potyczki nie był dla nas pomyślny.

Dziadek opowiadał długo i ciekawie, spoglądając od czasu do czasu na wiszącą na ścianie strzelbę, z którą przeszedł powstanie.

Z opowiadań tych najbardziej utkwiła mi w pamięci historia jednej potyczki w Górach Ponarskich, kiedy to mały oddział powstańców wciągnął w zasadzkę liczniejszy i lepiej uzbrojony oddział Moskali i zniszczył go.

Minęły lata. Życie w Polsce płynęło spokojnie i radośnie. O złych czasach niewoli i wojny zapominaliśmy coraz bardziej.

Polska krzepła i potężniała, a my młodzi rośliśmy w atmosferze innej, niż nasi ojcowie i dziadowie.

W piętnaście lat później byłem drużynowym jednej z drużyn harcerzy w Wilnie, której patronem był Sierakowski, bohater powstania. Dzień wybuchu powstania był świętem drużyny. Obchodziliśmy go uroczyście. Odbywały się wtedy całodzienne ćwiczenia za miastem. Wieczorem paliliśmy ognisko, przy którym odbywała się uroczystość składania przyrzeczenia harcerskiego. Po całodziennych harcach i ognisku opuszczaliśmy Góry Ponarskie i ulicą Legionów wracaliśmy do centrum Wilna. Po drodze każdy głęboko przeżywał niedawne harcerskie uroczystości ku czci powstańcow, a ja zawsze przypominałem sobie opowiadanie dziadka o potyczce w Górach Ponarskich.

Jak wiecie, rocznica powstania 1863 roku przypada w styczniu. Powstanie to jest symbolem buntu Narodu Polskiego przeciw gwałtom i niewoli. Świadczy ono, jak bardzo Naród Polski kocha wolność. W 1863 roku wielu porzuciło wygodne i spokojne życie i poszło w lasy, aby z bronią w ręku przeciwstawić się zaborcy. Woleli trud życia obozowego, chłód zimy polskiej a nawet śmierć, niż życie w niewoli.

Pamięć tamtych czasów i bezprzykładne bohaterstwo powstańców

musi być dla nas dziś wiecznie żywym przykładem prawdziwego patriotyzmu.

Styczeń jest pierwszym miesiącem roku. Stając na progu Nowego Roku, musimy zastanowić się, czy okres ubiegłych dwunastu miesięcy spędziliśmy pożytecznie i w Nowy Rok wchodzimy zasobniejsi w wartości charakteru, czy też rok stary był rokiem, który zmarnowaliśmy w naszym życiu. Każdy z nas musi się nad tym dobrze zastanowić i zdać sobie sprawę, czego chce dokonać w nadchodzącym roku.

Żyjemy w niezwykle trudnych czasach. Z dala od Ojczyzny, rozrzuceni po świecie.

Jedni spośród nas z bronią w ręku wyrębują drogę do Polski w pełni suwerennej, inni w trudzie pracy codziennej sposobią się, aby być dobrze przygotowanymi do zadań, które czekają nas przy odbudowie Ojczyzny. Walka ta jest ciężka i ofiarna, a praca będzie trudna i znojna. Wielu spośród walczących już poległo, wielu jeszcze padnie, znacząc grobami swymi drogę, którą kroczy Naród Polski do swej niepodległości.

Rok ubiegły był dla nas Polaków rokiem ciężkiej próby. Rok, który idzie, nie wróży, abyśmy mieli mieć mniej przeszkód i trudności. Na pewno nie mniej trzeba będzie wykazać silnej woli, hartu ducha i pogody. Trzeba z tego zdać sobie sprawę. Trzeba na to być przygotowanym.

Kiedy patrzę wstecz na nasz harcerski dorobek, muszę z radością stwierdzić, że praca Wasza w drużynach była owocna, że wyników tej pracy nie musicie wstydzić się przed tymi, co walkę w polu prowadzić mogą. W pracy naszej w roku ubiegłym tak, jak i w roku nadchodzącym, myślą przewodnią była i będzie służba Polsce z bronią w ręku lub sposobienie się do niej.

Mimo licznych trudności potrafiliśmy zachować linię, którą nam dyktuje Prawo i Przyrzeczenie Harcerskie. Umieliśmy z pogodą pokonać wszystkie przeszkody, aby nie zboczyć z drogi ideałów harcerskich.

Kiedy myślą naprzód wybiegam, to chcę, abyśmy wszyscy razem powiedzieli sobie, że praca nasza w tym Nowym Roku — ta osobista jak i zbiorowa — nie będzie gorsza od tej, jaką wykonaliśmy w roku ubiegłym, że starczy nam sił do pokonania wszystkich trudności, które piętrzyć się będą przed nami na drodze do prawdziwie Niepodległej Polski.

Mocna wiara w słuszność Sprawy doda nam mocy do walki na wszystkich frontach, a harcerski dynamizm nie pozwoli na bierne oczekiwanie, co przyniesie los, lecz da nam siłę do podjęcia akcji w kierunku realizacji tych zamierzeń, które są zgodne z duchem naszej harcerskiej ideologii, opartej o służbę Bogu i Polsce.

Aż przyjdzie dzień, kiedy sprawdzi się powiedzenie:

WYTRWAŁYM ZWYCIĘSTWO

Zygmunt SZADKOWSKI, hm.



Oj, nie zginęła jeszcze Ojczyzna,
Póki niewiasty w niej czują,
Bo z ich to piersi płynie trucizna,
Którą wrogowie się trują.

Jeszcze wykarmią one w zaciszy
Grono olbrzymie młodzieży.
Od nich pacholę o nas usłyszy
I jak my w Polskę uwierzy.

DZIEDZICE PRAWDZIWEJ WIELKOŚCI

Róbcie sobie co chcecie. Narzekajcie na mnie. Powiedzcie, że jestem historyk do niczego, że nie uznaję powag historycznych i idę wbrew ogólnie przyjętej opinii, a ja wam mówię, że skromnym swoim zdaniem wolę powstanie styczniowe od listopadowego...

Wiem, wiem... Już słyszę wszystkie wasze zarzuty... W r. 1830 mieliśmy armię własną, w której szeregach w dodatku nie brakło nawet napoleońskich wiarusów, mieliśmy wodzów, którzy przeszli przeszkolenie od Hiszpanii (jeżeli nie od Egiptu) po Moskwę, a przeszli je pod okiem Napoleona... Ba, ba, czegośmy wtedy nie mieli!... I przetrzymaliśmy dokładnie aż 10 ½ miesięcy, z czego co najwyżej pierwsze dwa i pół zmarnowaliśmy w zupełnej bezczynności.

A w r. 1863 nie mieliśmy istotnie nie tylko własnej armii, ale i poszczególnych fachowców wojskowych. Najwyższa szarża w przeddzień wybuchu powstania była aż szarża kapitańska. Uzbrojenie składało się nie z armat i nie z karabinów, tylko przeważnie z dubeltówek, szabel, kos i... drągów. Wszystko to prawda, a przecie powstanie w tych nieszczęśliwych warunkach przetrwało ponad 20 miesięcy i ogarnęło nie tylko etnograficzną Polskę, ale przejściowo Ruś, a bardzo poważnie Litwę z nieznającą mowy polskiej Żmudzią... Nie wiem, jak wam się to podoba, ale mnie te oddziały czysto żmudzkie, które słowa po polsku nie umiały a o Polskę się biły, nie tylko imponują, ale one mnie szczerze wzruszają.

Piękna była obrona Warszawy we wrześniu 1939. r., przeprowadzona fachowo i po bohatersku utrzymana do kresu ostatnich możliwości. Lecz bardziej jeszcze od niej wzrusza mnie ten zryw, zdaniem niektórych wariacki, bezsensowny, na jaki pod generałem Borem zdobyło się to miasto teraz, na przełomie piątego roku wojny. Analogie historyczne nigdy nie grzeszą ścisłością.

Lecz ta analogia może wam coś powie.

Jest wielu ludzi, którzy w powstanie styczniowe rzucają często kamieniem potępienia. Zarzut ogólny: był to zryw nad siły, przedsięwzięcie skazane na niepowodzenie od pierwszych swoich chwil, innymi słowy, po prostu „porywanie się z motyką na słońce", bo przedwczesne, przedwczesne, po prostu przedwczesne.

Znamy ten zarzut. Rozbrzmiewał on głośno przed nieszczęściami. Na falach eteru dzień po dniu płynął z Moskwy, jako oskarżenie zbrojnej akcji gen. Bora... I słuszność jego w obu wypadach jest identycznie taka sama, to znaczy — nie ma jej wcale.

Czy powstanie styczniowe było naprawdę czymś nieobmyślonym, niedojrzałym?

Nawet nasi właśni historycy starali się w nas to wmówić, bo często ludzie po fakcie rozumują: nie udał się, a więc był niepotrzebny. Tymczasem inicjatorzy powstania styczniowego, rozpoczynając je, mieli naprawdę plany i oparli swą akcję na wcale solidnych podstawach.

Planując rozpoczęcie powstania styczniowego, inicjatorzy czyli tzw. „Czerwoni" oparli się na szerokich kontaktach z rewolucyjnym ruchem rosyjskim pod nazwą „Ziemia i wola". Istniała ścisła łączność i porozumienie między lokalnymi władzami powstania a oficerami garnizonów rosyjskich, należących do tej organizacji. Wybuch powstania miał zapewnioną pomoc, miał się nawet stać hasłem do ogólnego ruchu na terenie imperium Rosji. Obietnice zawiodły, tak, naturalnie zawiodły. Mniejsza o to, z jakiego powodu. Czy dlatego, że spiskowcy wojskowi zostali w ostatniej chwili przewiezieni w głąb Rosji, czy też dlatego, że „ruszyło ich sumienie", skutkiem czego stchórzyli i zdradzili?

Ja wam nie sugeruję, ale analogia z sierpniem 1944 roku nasuwa się chyba wyraźnie.

A potem? Potem „Czerwoni" poczuli się bardzo zgnębieni. Lecz w sukurs natychmiast przyszli im dotychczasowi ich przeciwnicy — „Biali".

Powstanie było niepotrzebne, zgoda — mówili oni. — Ale już wybuchło, trzeba je więc podtrzymać i rozszerzyć... W tym celu zaś potrzeba zwrócić się do Zachodu.

I rozpoczęły się zabiegi dyplomatyczne, i w Anglii, i we Francji z prośbą o pomoc i z wiarą, że się pomoc uzyska... Pomoc nadeszła w formie interpelacji, złożonej przez te rządy rządowi rosyjskiemu.

Była to pomoc istotnie aż zanadto niewystarczająca. Jak „Czerwoni" na szczerości Rosjan, tak się „Biali" zawiedli na konkretnej pomocy Zachodu. Lecz i jedni i drudzy obliczali realnie i wiara ich w zwycięstwo miała nie tylko duchowe podstawy.

Oczywiście, powstanie to nie jest bez grzechu i zarzucić mu można w szczegółach niejedno. Lecz w ogólnych zarysach, jako ruch wyzwoleńczy, przeważa swym tragizmem, imponuje wielkością. Przy tym, ile naprawdę wydobyło ono na jaw dodatnich cech charakteru naszego, których my sami w sobie często nie spostrzegamy, a przez to i nie rozwijamy.

Często się samooskarżamy twierdząc, iż nie jesteśmy zdolni do organizacji. Rok 1863 zadaje temu kłam: organizacja była wspaniała. Rząd Narodowy działał w Warszawie pod bokiem wroga i przez szereg miesięcy nie został wykryty. Z Warszawy kierował oddziałami, rozsianymi na wielkich przestrzeniach, a rozkazy jego wszędzie — mimo trudności nad siły ludzkie — potrafiły dotrzeć. Często twierdzimy, że nasza gadatliwość uniemożliwia nam zaskakiwanie wroga. Aleć

wtedy nie było właśnie gadatliwości. Wróg został zaskoczony już w noc wybuchu powstania i był zaskakiwany raz po raz. Zdolność do utrzymania tajemnicy była tak wielka, że nawet śledztwa popowstaniowe, prowadzone przez władze rosyjskie dobrze nam znaną metodą, pełni składu Rządu Narodowego i zmian w nim zachodzących wykryć nie zdołały... Wreszcie, najczęściej zarzucamy sobie brak dyscypliny i niezdolności do podporządkowania się. Ale czy brakiem dyscypliny można nazwać to, iż tajemniczy — dla ogółu bezimienny — ów Rząd Narodowy miał istotnie w narodzie całkowity posłuch?

Taka sobie — pieczątka Rządu Narodowego — na cieniuchnej bibułce, aby łatwiej przechować i ukryć się dała. Na pieczątce Orzeł Biały, Pogoń Litewska i św. Michał Archanioł, herb Rusi — wspaniały dowód, że ludzie ówcześni pojmowali doskonale, kto komu brat i kto z kim iść powinien... Wędruje ta pieczątka z kieszeni do kieszeni, a jeśli ktoś nią obdarzony ukaże ją pierwszemu lepszemu obywatelowi polskiemu, tamten ostatnich wydobędzie sił, by polecenie, poparte powagą Rządu, wykonać.

Czy to nie imponuje i czy nie słusznie Józef Piłsudski w rozważaniach swych o r. 1863 mówi:

W wielkiej epoce wielkość być musi... Gdzie wielkich w takich czasach zabraknie, ludzie szukają symbolu siły, symbolu swej wartości... W r. 1863 istniał taki symbol, który silnie, ba — nieraz wszechwładnie — panował nad ludźmi. Była nią pieczęć — pieczęć Rządu Narodowego!.

Jeszcze raz myślą przebiegam powstanie styczniowe i zestawiam je z listopadowym. I oto na myśl mi się nasuwa nowa analogia do dni dzisiejszych.

My tu na tzw. emigracji mamy, jak w dobie listopadowej, wojsko, broń, wyszkolenie, wodzów doświadczonych. Oni tam, jak w styczniowym, prawie „drągalierzy", a przecie moc — moc duchowa — już imponuje światu.

Oni — dziedzice prawdziwej wielkości!

Dr Walerian KWIATKOWSKI



Z HOŁDEM

Poprzez piaski sypkie i gorące,
poprzez skały i ciernie raniące
dąży długa, gwarna karawana,
chłodem nocy, skwarem dnia nękana.

Twarze ludzi od zmęczenia białe.
Dromadery niosą ich wytrwałe,
pod ciężarem uginają garby.
— A co ciąży tak w jukach tych?
— Skarby!

To z Chaldei, wielce sławnej ziemi,
Trzej Królowie z orszakami swymi
pielgrzymują za przewodem gwiazdy,
a z darami bogatymi każdy.

— Dla kogóż te dary przeznaczono?
— Dla Dzieciątka.
W Betleemie Ono
urodzone według proroctw mnóstwa.
Syn to Boży, Król to jest ubóstwa
i Brat wszystkich, którzy, stopą bosą
depcząc ciernie, jarzmo swoje niosą,
a ku niebu wciąż zwracają twarze.

Z kornym hołdem idą doń mocarze,
bo nad władzę, uczoność i włości
stokroć większe jest dzieło Miłości.

* * *

Dnie i noce mijają mozolne...
Dromadery kroczą już powolne,
pod ciężarem juk zgięły się garby,
chociaż — prochem są jeno te skarby,
bo największy skarb w sercach spoczywa:
jest nim wiara serdeczna i żywa.

Z taką wiarą kto przyjdzie do żłobka,
tego szczęście przenajsłodsze spotka,
czy to będzie król, czy pasterz lichy,
byle w sercu czysty był i cichy.

EWA SZELBURG - ZAREMBINA



JAK JEZUSEK BAWIŁ SIĘ Z PTASZKIEM

Krótki dzień grudniowy kończył się szybko. Niebo zapaliło się purpurą. Rozgorzałe obłoki wędrowały, jakby płomienni aniołowie szli po niebie, aby gorejącą jasność zanieść w nadciągające mroki. Biel, leżąca grubą warstwą, skrzyła się, migotała wszystkimi barwami, zdawało się, że to zmarzła tęcza rozprysła się i zasypała śnieg.

Wszystkie drogi zawiane, ani dobrnąć. Zresztą nikt nie podążał w tę stronę. Ścieżynę wydeptywał zwierz leśny, wędrujący od wsi do lasu. W tej pustce zrywał się tylko samotny ptaszek i ćwierkał pomiędzy gałązkami.

Drzewa, obarczone zaspami, podobne były do utrudzonych wędrowników, dźwigających na barkach ciężar, który chyba dopiero wiosna zdejmie. Wśród tych drzew stała kapliczka zgrzybiała, postawiona przed laty przez ludzką pobożność, a teraz obwieszona przez mróz soplami, oblanymi światłem gasnącym. W zacienionym wnętrzu stała Matka Boska z małym Dzieciątkiem, wyciągającym rączki do wsi, widniejącej w oddali.

Od wczesnej wiosny do późnej jesieni ptaki krzątały się w tym zakątku i Matce Boskiej wyśpiewywały: „Kiedy ranne wstają zorze". I w dzień i wieczorem tak samo. Z przeróżnych, radosnych głosów i z barw swego upierzenia wiły nigdy niekończące się wieńce i zawieszały na gałęziach.

Latem kwitły tu słoneczne dni. W jesieni kapliczka stała w złocie, jakby w płomieniach, buchających z ziemi. Królewski płaszcz ze słońca i purpury rozpadał się, strzępił i zmieniał się w żebracze łachmany. Czasem liść uroniony spływał na dłoń Chrystusika. Wtedy zdawało się, że to śliczny ptak zleciał i złoci się i szeleści.

Przeminęły dni pogodne. Już tylko jarzębinowe kiście czerwieniły się wśród ogołoconych gałęzi. Potem nadciągnęły chmury, szarugi i pogrążyły świat w płaczu. Zimny wiatr rozniósł skrzydlate gromady, porozrzucał ku spichlerzom, ku domom, stodołom, gdzie łatwiej znaleźć pożywienie, gdzie łatwiej można mieć ciepłe schronienie. Z licznej rzeszy pozostał tylko jeden ptak. Nie dlatego, żeby nie miał gdzie indziej kryjówki. Nie. Siadał na ramieniu Matki Bożej, to na dłoni Chrystusika, ćwierkał mimo szarug, mimo zadymek i mrozu, jakby Bożemu Dziecięciu opowiadał śliczne powiastki.

— Cir - ćwir...

Tą ubogą nutą mógł wyjawić najpiękniejszą tajemnicę serca. Codziennie nucił swoje piosenki i jak mógł rozweselał pustelnię śnieżną. A Jezusek wyciągał rączki i chciał coś rzec.

Teraz barwy gasły. Szary cień powlekał świat, jeszcze niedawno tak błyszczący.

Już dzień skonał.

Przestrzeń jasności słońca zajmował zmierzch, szybko spływający między drzewa. Już tylko na zachodzie płonął rumieniec, jakby zaszłe słońce różowym uśmiechem witało jedyny wieczór, wybrany spośród wszystkich trzystu sześćdziesięciu pięciu.

— Wigilia!

Robiło się coraz mroczniej. Nadciągał mróz. Im bardziej ubywało światła, tym był sroższy, tym okrutniejszy. We wsi trzaskały gonty na dachach. Na szybach kształtowały się czarodziejskie kwiaty, utkane przez baśń zimową z promieni przemarzniętych.

Pomiędzy kapliczką a ludzkimi siedzibami rozprzestrzeniała się pustka, cisza i mrok, słabo obielony odblaskiem śniegu.

Wybłysła pierwsza gwiazda, święta, betlejemska, która od wiek wieków tyle radości daje, obdarzając błogosławionymi promieniami nawet najbiedniejszych, najbardziej pokrzywdzonych, a mimo to, zawsze jest jednak jasna, zawsze niewyczerpana.

Czasem rozległ się trzask, jakby ktoś sople łamał i ciskał w ciszę.

Zwierzęta szukały kryjówki przed mrozem, niektóre ciągnęły ku wsi, gdyż w wieczór wigilijny wszystkie stworzenia bratają się z człowiekiem i przemawiają ludzką mową.

Mignęła gromadka saren. Prześlizgnęła się kuna. Lis zamiótł swoją pyszną kitą rozproszone odpryski śniegu. Zając kicał w swoje strony. Zatrzymał się przed kapliczką, stanął słupka i zamrzucał wesoło:

— Wszak nie wykroczę,
kiedy wyskoczę.
Rączkami łup, łup,
nóżkami tup, tup,
uderzę.

I radując się, że Boże Dziecię ucieszył, pomknął ku sadom.

Nasz ptak skakał po gałązkach, sfrunął na figurę i przytulił się, jakby chciał zawinąć się w fałdy Matki Bożej.

Jednak fałdy były twarde, z drzewa wyciosane.

Gdzieś rozlegały się kolędy, które chyba z nieba po strumieniach gwiazdy betlejemskiej schodziły do chat i do serc ludzkich.

Coraz weselej było na świecie. Śpiew przelatał po ulicach:

— Niechaj tak będzie, jak i przedtem było,
ażeby z wody wino się robiło.

Wszystkie domy we wsi zatłoczone były jasnością, weselem i śpiewem. Tylko tutaj cisza, opuszczenie i zimno. Nikt nie pamiętał o kapliczce.

Tam tyle drzewek kwitło, dzieci miały tyle radości, a tylko Jezusek pod lasem stał sierocy, zziębnięty i daremnie wyciągał rączki do pustej przestrzeni.

Tylko ptak przelatywał i wciąż jednostajnie ćwierkał, cieszył i rozweselał.

Wiatr, błąkający się pomiędzy zaroślami, strącał zatajone liście, podrywał się ze śniegu, miotał kurzawę i ciął, smagał kostniejącymi biczami. Zdawało się, że Matka Boża, odziana w chustkę, jak bezdomna komornica, drży za każdym powiewem i przytula coraz mocniej Dziecię, które na Jej piersiach zatrzęsło się i cicho się poskarżyło:

— Matuś!

— Co ci, Dziecię?

— Zimno! — jedno słowo sfrunęło, jakby śnieżynka zwiana z warg. Matka chuściną otuliła.

— Nie płacz... rozgrzejesz się.

Wzięła rączki w dłonie, chuchała. Ale nijak nie mogła utulić, ani ogrzać.

Wtem nadleciał ptak i zagrał w pustce barwami swymi.

Chrystusik dojrzał go, uśmiechnął się i wskazał palcem.

— Ptaszek!

Matka Boska też uśmiechnęła się.

— Ładny. Chcesz się pobawić?

— Cobym nie chciał? — wyciągnął rączki.

Matka Boska chwyciła ptaka i oddała go radującemu się Synaczkowi, jakby kłąbek zorzy spadłej z nieba.

Gałęzie pobliskich świerków uginały się pod ciężarem śniegu. Każdy ustrojony w biel. Brakło tylko świecidełek, lampek, a rozmigotały, rozgorzały w tym pustkowiu, jakby na drzewku bożym.

W kapliczce samotnej, z dala od świata Chrystus malusieńki w mroźną noc wigilijną głaskał ptaszka, który Mu wesoło ćwierkał swoje ubogie cir, ćwir.

Jan WIKTOR

HUCZCIE, WICHRY!

Huczcie wichry, sypcie w oczy
śnieżnymi tumany!
Naszym sercom lęk nieznany,
trwoga nas nie mroczy.
Chociaż zakuł mróz w okowy
odrętwiałą ziemię,
wiemy, że w niej siła drzemie,
że świt przyjdzie nowy!

Huczcie, wichry! Nie zgłuszycie
w sercach naszych wiary,
że nadejdą wiosny czary,
że zbudzi się życie.
Naszej wiary nic nie mroczy,
żyjemy nadzieją.
Huczcie wichry, huczcie! W oczy
miotajcie zawieją!

Alina KWIECIŃSKA

O TYM JAK ŚNIEGOWY BAŁWANEK NABRAŁ ROZUMU

Wczesnym zimowym rankiem szło do szkoły troje szkolnych dzieci: Jaś, Staś i Michalinka.

Idą, teczkami wymachują i rozglądają się.

— Piękny czas dzisiaj — powiadają uradowani. — Śniegu świeżutkiego dokoła pełno. Mrozu tylko tyle, co potrzeba. Wiatru ani odrobinki. A do rozpoczęcia lekcyj całe pół godziny. Zatrzymajmy się tutaj i ulepmy bałwana.

Raz — dwa! Wzięli się wszyscy troje do roboty. Chłopcy taczają trzy śniegowe kule: jedną kulę dużą, drugą kulę małą, trzecią kulę jeszcze mniejszą i najokrąglejszą.

Z tej pierwszej — będą bałwankowe nogi. Z tej drugiej będzie bałwankowy tułów. Z tej trzeciej będzie bałwankowa głowa.

— Hurra! — Jaś i Staś skończyli swoją robotę. Teraz Michalinka szuka oczu, nosa i ust dla bałwanka.

Znalazła pod śniegiem dwa ciemne kamyki — to będą bałwankowe oczy. Wyjęła z teczki okrągłą gumkę — to będzie bałwankowy nosek.

Poszukała w kieszonce swetra — znalazła maślany rogalik! To będą bałwankowe usta. Gdy się wetknie rogalik różkami do góry — bałwanek będzie się śmiał. A gdy rogalik przekręci się różkami na dół, bałwanek będzie miał buzię w podkówkę. Znaczy: jest smutny, płacze.

Na teraz uradziły dzieci, że trzeba wetknąć rogalik różkami do góry: niech się bałwanek cieszy!

Więc cieszy się bałwanek. I jak jeszcze się cieszy! Sam pęka ze śmiechu i dzieci do śmiania się pobudza. Aż rozochocony Jaś zdjął z głowy nowy berecik z pomponem i ustroił bałwanka:

— Teraz dopiero piękny! Patrzcie i podziwiajcie!

Pół godziny wesołej zabawy minęło, jak jedna minutka.

— Czas, czas na lekcje! Żegnaj, bałwanku!

Ale co to? Śniegowy bałwanek w krzyk, w płacz, i rusza z miejsca za dziećmi.

— Nie zostawiajcie mnie tutaj samego! Weźcie mnie z sobą! — prosi i dwie prawdziwe łezki kap — kap bałwankowi po śniegowej buzi.

Naturalnie, dzieci natychmiast się zatrzymały. Bardzo im żal bałwanka.

— Jeszcze się cały od tego płaczu roztopi — powiada Michalinka. — Co tam, weźmy go ze sobą do szkoły. W szkole dzieci dziewięćdziesięcioro, to jeden bałwanek więcej też się zmieści.

— Ano dobrze.

Wzięły dzieci bałwanka pomiędzy siebie i maszerują.



Zima,
wielka pani,
siada
już do sani.

Stary
mróz powozi.
O! już
szczypie, mrozi.

Już z daleka widać szkołę...
Już widać szkołę z bliska.
— Śpiesz się, bałwanku, bo już po dzwonku!
— Siądziesz ze mną na pierwszej ławce przed tablicą — powiada Jaś.
— Albo ze mną, pod oknem — Staś zaprasza.
— Albo koło mnie przy piecu — ofiarowuje się Michalinka.
— Ou, bieda, kiedy piec jest w klasie i do tego pewnie gorący! Nawet do końca pierwszej lekcji nie dosiedzi tam bałwanek. Roztopi się tak, że po nim tylko mokre miejsce zostanie.
Nie, nie! Lepiej nie ryzykować.
I bałwanek rad nie rad zatrzymał się przed szkołą.
Trudno. Rozstać się trzeba. — Żegnajcie, dzieci!
— Bywaj zdrów, bałwanku!
Zasiadły dzieci w klasie, a ich śniegowy przyjaciel przez okno do klasy zagląda.
Przygląda się, słucha, słucha...

Wicher
w palce dmucha.
Nie wdział
dziś kożucha.

Siada
obok zimy:
— Prędko
wyruszymy?



Bardzo ciekawe rzeczy słyszy! Toteż przez wszystkie lekcje stał przy oknie z noskiem, przyciśniętym do szyby. A gdy dzieci po skończonej nauce rozeszły się do domów, by opowiedzieć rodzicom, czego się nauczyły w szkole, nasz bałwanek pobiegł w te pędy do lasu. Tam zwołał krasnoludki, zajączki, myszki polne, wiewiórki i wszystkie stworzonka, które pod ten czas były w lesie.

— Chodźcie tu, bracia, chodźcie! Nauczę was tego samego, czego się ludzkie dzieci uczą w szkole.

Któreż stworzenie nie chciałoby umieć tego co ludzie? Otoczyły stworzonka śniegowego bałwanka i zaczęła się nauka.

Jeżeli tylko starczy pilności i wytrwałości uczniom, a wiadomości nauczycielowi, to oba krasnoludki, zajączki, wiewiórki i myszki szybciej przejdą do następnej klasy, niźli szkolne dzieci.

W każdym razie o ich postępach w nauce będziemy mogli dowiedzieć się od Jasia, gdy bałwanek odniesie mu w niedzielę berecik i przy sposobności opowie wszystko o tej leśnej szkółce.

E. S.

2

DOMEK ŚNIEŻNYCH ZUCHÓW

— Dziś będzie zbiórka „Śnieżnych Zuchów", pamiętacie? — rzekła Zosia, gdy się kończyła ostatnia lekcja.

Naturalnie, że wszystkie pamiętają.

Drużynowa zapowiedziała, że dziś zuchy zbiorą się na pustym polu za parkanem i tam mają coś robić „śnieżni ludzie"... Ale co?

Poleciła też wziąć saneczki i nawet dziewczynki dziwiły się po co, bo tam przecież nie ma żadnej pochyłości.

Ale, ponieważ drużynowa powiedziała... Henia z Zosią chwyciły za sznurek przyczepiony do saneczek i pomknęły szybko małymi uliczkami, prowadzącymi ze szkoły do onego pustego pola. W lecie była to łączka, porosła tu i owdzie krzakami i wikliną, teraz wyglądała, jak bezkresna, śnieżna pustynia.

Koło większego krzaku, który odcinał się ostro na tle bieli śnieżnej, zgromadziły się już prawie wszystkie zuchy. Henia i Zosia ledwo zdążyły dobiec z saneczkami, gdy zjawiła się drużynowa, druhna Wanda.

— Śnieżni ludzie zbudują sobie dom ze śniegu — powiedziała dhna Wanda. — Ot tu, na tym miejscu stanie ta chata. Na dalekiej północy, blisko bieguna ludzie mieszkają w takich ze śniegu zbudowanych domkach.

— Domek ze śniegu! Ale jak to zrobić?

— Zrobimy kule śnieżne — objaśniała dalej drużynowa. — Dziś odwilż i śnieg się lepi, więc będzie łatwo. Każda z nas utoczy kulę jak największą; jest was dwadzieścia pięć, z dwudziestu pięciu kul będzie już ściana. W ten sam sposób zrobimy następne. A teraz żywo, do pracy!

„Zuchom rozkazu nie trzeba powtarzać", jak mówi prawo zuchowe, dziewczynki rozpierzchły się więc na wszystkie strony i każda stara się utoczyć ze śniegu jak największą kulę.

Zosia pobiegła pod krzak głogu, tam leży masa nieruszonego jeszcze śniegu. Wtem doszedł ją pisk ptaszków, cichy i jakby żałosny, spojrzała: oto kilka wróbelków tuli się do gałązek krzaka i daremnie wypatruje jakiej jagódki.

— Jakie one głodne! — pomyślała Zosia. — Trzeba im coś dać do jedzenia, mam przecież jeszcze trochę bułki ze śniadania w teczce.

Zawróciła natychmiast i pobiegła na miejsce zbiórki a w chwilę potem wróciła z bułką w ręku i rozkruszyła ją całą dla ptaszków.

Jak się głodne wróbelki cieszyły, jak ćwierkały wesoło!

— No, ale teraz trzeba się zabrać do lepienia kuli. — Tymczasem Zosia z przerażeniem zobaczyła, że masy śniegu zostały już pozabierane

przez inne dziewczynki. Wszędzie dokoła śnieg został albo wydeptany albo zgarnięty. Co tu robić? Czyż ona jedna nie zbuduje domku? Pójdzie chyba do dhny Wandy użalić się i poradzić się...

Tylko że na zbiórkach zawsze się mówi, że zuch powinien sam sobie umieć radzić...

— Już wiem, co zrobię! Tam dalej jest tyle jeszcze świeżego śniegu, wezmę sanki i na saneczkach przywiozę stamtąd śnieżną kulę.

Pobiegła pędem, wołając Stasię i Henię, które też nie zdołały na czas śniegu zgarnąć i rozglądały się dokoła niepewne, co robić.

We trzy pobiegły teraz żwawo, ciągnąc saneczki ze sobą. Po chwili naładowały na sanie wielkie, dobrze ubite kule i szybko ciągnęły je na miejsce zbiórki.

— Patrzcie, jakie to mądrale — powiedziała Władka z uznaniem. (Władka w słowach nie przebiera, ale zawsze potrafi uznać zasługę drugich). — A ja się dziwiłam, po co te sanki tu, gdzie jest tak równo!

Tymczasem śnieżny domek rósł w oczach. Ma już ściany z wielkich kul ulepione, a szpary pozatykane śniegiem. Podłogę udeptano, zrobiono małe okienko i drzwi, a jako dach poukładano splecione gałązki wierzby, na wierzchu zaś przysypano je śniegiem. Prawdziwy śnieżny domek! Taki, w jakich mieszkają Eskimosi! Czy oni tam nie marzną ci ludzie dalekiej północy w śnieżnych domkach?

— Nie marzną, bo są ubrani w skóry zwierząt, a przy tym są przyzwyczajeni — objaśniła dhna Wanda. — Zresztą czy nie czujecie, że tu, w śnieżnej chacie o wiele jest cieplej, niż na dworze?

— O, to prawda! — zawołały dziewczęta.

— Ja się nawet bardzo dziwiłam, że ściany ze śniegu mogą tak dobrze chronić od zimna — dodała Władka.

— Otóż właśnie, śnieg świetnie broni od mrozu, — rzekła drużynowa — dzięki niemu ziarna zboża zasiane jesienią nie zmarzną w ziemi; zwierzęta północne wiedzą o tym doskonale i robią sobie zawsze nory w śniegu. Tak samo czynią psy tam mieszkające a także nasze niedźwiedzie w górach zawsze mają jamy przysypane śniegiem.

— Jak to zabawnie, że śnieg służy za mieszkanie! — zawołała Zosia. — Co to jednak za cudowna rzecz jest śnieg!

— Wszystko na dworze jest cudowne: i mróz i śnieg i wiatr — rzekła dhna Wanda. — Byle tylko w domu za piecem nie siedzieć. Zuchy o tym najlepiej wiedzą, prawda?

— O tak! — krzyknęły chórem wszystkie zuchy.

Z. WOŁOWSKA

SKĄD SIĘ WZIĄŁ NASZ GLOBUS

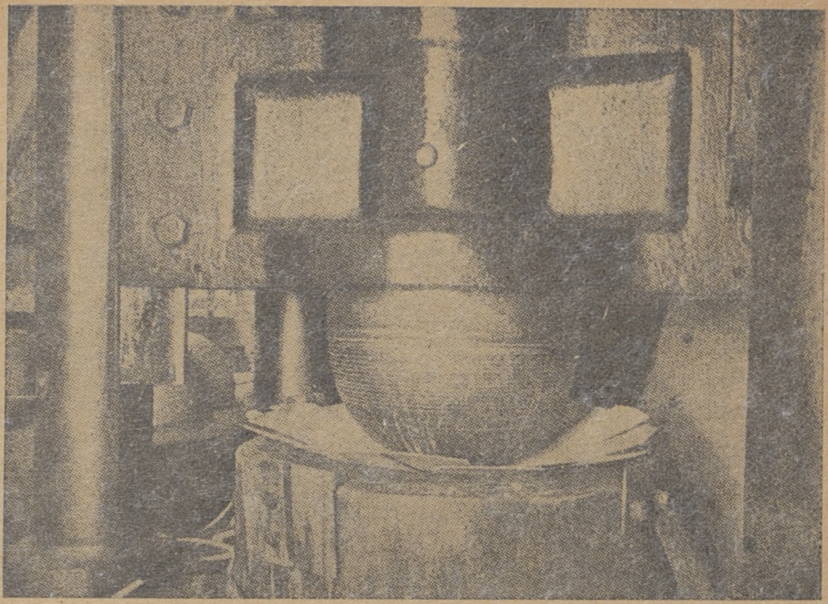
Na pewno bawiliście się już nieraz w „Indianina". Miła to zabawa. Łuk, strzały i piękny strój z kurzych piór i już Indianin gotowy. Aby jednak dobrze się bawić, to samo nie wystarczy, trzeba bowiem wiedzieć coś niecoś o obyczajach czerwonoskórych, o ich umiejętnościach i sposobie życia. Tylko tacy znawcy Indian potrafią się tak zachowywać, jak prawdziwi Indianie i ci na pewno umieją też pisać listy po indiańsku. A wy, czy potraficie?

To wcale nie trudne. Zwyczajnie, zamiast pisać słowa i litery, pisze się, a raczej rysuje się małe obrazki, jeden obok drugiego i za pomocą tych obrazków wyjaśnia się to, co się chce powiedzieć. Już nieraz widzieliście małe historyjki bez dopisków, składające się z samych tylko obrazków. Indianie zawsze tak pisują listy i zupełnie dobrze w ten sposób się porozumiewają. Często w listach należy objaśnić drogę, opisać, jak trzeba iść, aby się dostać do tego, kto napisał list. Indianie również i tych wyjaśnień udzielają rysunkami, po prostu rysują całą drogę, przy czym na odpowiednich miejscach zaznaczają, że tam znajduje się drzewo, tu znów strumyk, pagórek lub inny ważny szczegół.

Spróbujcie sami również narysować drogę waszą do szkoły lub do domu ciotki, stryjka albo waszego kuzyna, a przekonacie się, że jest to bardzo miłe zajęcie. Wasze rysunki nie będą celowały doskonałym wykonaniem i ujęciem, będą wam jednak już mogły służyć do wyjaśnienia tego, co zwiemy *mapą*.

Myślę, że każde z was widziało już rozmaite mapy i globusy. Jeśli sporządzicie rysunek jakiejś drogi tak, jak to powyżej wyjaśniłem, to właściwie już stworzyliście małą mapę waszego najbliższego otoczenia. Bardzo staranni i umiejętni rysownicy potrafią sporządzić mapę całego miasta, całej Polski, a nawet całej naszej ziemi. Na takiej mapie, wyobrażającej cały kraj, odszukać można poszczególne miejscowości, góry i rzeki, linie kolejowe i szosy. A jak będziecie starsi, nauczycie się nawet za pomocą mapy określać odległość dwóch miast.

Jest jednak z mapami pewna trudność. Wiecie już przecież, że nasza ziemia wcale nie jest płaska, taka płaska, jak na przykład mapa. Ziemia jest kulista, jest to wielka kula, która swoim przyciąganiem przytrzymuje nas na swej powierzchni. Dopóki na mapie rysujemy plan małego obszaru, to oczywiście możemy go przedstawić całkiem płasko. Gorzej się jednak sprawa przedstawia, gdy zamierzamy lądy i morza narysować na mapie w zmniejszeniu. Wtedy już niemożność uwzględnienia wypukłości kuli ziemskiej zmusza nas do pewnych niedokładności przy kreśleniu zarysów lądów i brzegów morskich. Nawet najlepsza



Tłok nadaje tekturze kształt kulisty

więc mapa, najsumienniej wykonana nie może być zupełnie wiernym obrazem rzeczywistości.

Jeśli więc chcemy dokładnie wiedzieć, jak ułożone są względem siebie wielkie obszary lądów, jaka jest najbliższa droga z Ameryki do Polski, z Australii do Afryki, gdy zamierzamy choćby za pomocą przesuwania palca podróżować po morzach i objeżdżać cały świat, to już zgodzić się musimy na to, że mapy nie będą nam mogły dawać dobrej odpowiedzi i wtedy już jedynym doradcą może być li tylko globus.

Zapewne ciekawi jesteście, od kiedy to ludzie sporządzają globusy i jak też powstaje taka piękna kula, całkiem podobna do ziemi z błękitnymi plamami mórz i żółto-zielonymi obszarami lądów.

Pierwszy globus stworzył w roku 1492 norymberczyk Martin Behaim. Globus ten mierzył w średnicy pół metra, pięknie był wykończony, a na jego wypukłej powierzchni oglądać można mnóstwo ciekawych obrazów. Namalowany na południe od Afryki wieloryb oznacza, że w tych właśnie okolicach morze obfituje w te olbrzymie ssaki wodne; herby poszczególnych państw wskazują obszary, znajdujące się pod ich panowaniem, rysunki okrętów pozwalają się domyślać, że tam właśnie prowadzą szlaki morskie do dalekich krain. Jedną jednak wadą grzeszył ten pierwszy globus: był wykonany wtedy, kiedy jeszcze cała ziemia nie była nam znana i dlatego nie odpowiadał rzeczywistości.



Wycinanie map

Ktoby się chciał kierować według wskazówek tego globusu, ten by nawet do Ameryki nie mógł pojechać, bo na nim w ogóle tego dużego kontynentu nie ma.

Wprawdzie i dziś jeszcze istnieją na ziemi okolice, do których stopa białego człowieka jeszcze nie dotarła, jednak znamy już dokładnie rozmieszczenie na kuli ziemskiej wszystkich lądów, nie ma mowy o tym, aby mogła istnieć jakaś większa wyspa, niezapisana na mapach poszczególnych okolic naszego globu. I dlatego oczywiście dzisiejsze globusy jak najdokładniej odzwierciadlają wygląd i kształt ziemi.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu tylko szkoły posiadały globusy, geograficzne te przyrządy były dość drogie i jedynie bardzo bogaci ludzie lub uczeni mieli u siebie takie piękne obrazy świata. Dziś już globusy fabrykuje się w wielkich ilościach według metod uproszczonych i dlatego cena jednego globusu jest obecnie tak niska, że właściwie każdy może sobie pozwolić na posiadanie własnej „ziemi".

Na załączonych fotografiach widzicie, jak powstają globusy. Ten dziwny blok żelazny, widoczny na pierwszej fotografii jest częścią prasy, która prasuje tekturę i nadaje jej kształt półkulisty. Te półkule tekturowe zostają następnie bardzo misternie złożone i zlepione oraz pięknie wypolerowane, tak jak to widać na fotografii. Kule już są gotowe, brak jednak na nich konturów lądów, wysp i oceanów.



Wycięte pasy map nakleja się na kule tekturowe

Na osobnych arkuszach wydrukowane są mapy świata. Te mapy mają jednak bardzo dziwaczne kontury, wyglądają jak podłużne, w obu kierunkach zwężające się pasy. Trzeba je wycinać, całkiem tak samo, jak wy wycinacie waszych papierowych żołnierzy, wasze krówki lub domki, jednak nieco staranniej, dokładnie wzdłuż brzegów. A potem niemniej starannie nakleja się te pasy na owych białych kulach tekturowych. Jest to praca zasadniczo nietrudna, jednak delikatna, bo trzeba bacznie na to zwracać uwagę, aby krawędzie wyciętych pasów dokładnie ze sobą się stykały, broń Boże, nie zachodziły jedna na drugą, albo nie pozostawiały wolnego, niezaklejonego miejsca.

Kiedy już wszystkie lądy i morza zostaną dobrze rozmieszczone na kulach ziemskich, globusy przechodzą przez lakiernię. Zwykły papier nielakierowany prędko się brudzi, a gdy się zciera z niego kurz, cząsteczki pyłu jeszcze głębiej wnikają w włókna tektury. Lakier sprawia, że powierzchnia globusów jest lśniąca, gładka i kurzu nie przyjmuje.

Po wyglansowaniu globusy już są gotowe. Trzeba je tylko jeszcze umieścić na odpowiednich podstawach i dać im porządne stalowe osie, dookoła których mogą się kręcić, zupełnie tak samo, jak prawdziwa, wielka ziemia. Rozmiary globusów są różne. Istnieją takie, które mają w średnicy kilka metrów, a w ich wnętrzu znajduje się mechanizm

zegarowy, który sprawia, że kręcą się dookoła swej osi, wykonując jeden obrót w ciągu 24 godzin. Są również globusy, na których góry przedstawione są w formie wypukłej. Te są naturalnie drogie i dlatego nie dla każdego dostępne.

Takie są koleje losu globusów, zanim dostają się do sklepów księgarskich, a stąd do sal szkolnych lub do cichych pokojów miłośników wiedzy geograficznej.

Gdy spojrzycie na lśniącą powierzchnię globusowych mórz i lądów, zastanówcie się nad tym, ilu dzielnych uczonych wyprawić się musiało w głąb nieznanych krain, ilu nieznanych bohaterów postradało życie w tym celu, abyśmy dobrze poznali wszystkie zakątki kuli ziemskiej i mogli narysować każdy jej szczegół na pięknych globusach. I również o tym pamiętajcie, że sztuki stwarzania takich małych obrazów ziemi nauczyli się ludzie w ciągu długich stuleci i że początki tej sztuki sięgają tych czasów, kiedy nasi praojcowie tak, jak owi Indianie, niezdarnie rysowali mapy na korze drzew lub skórze zwierzęcej.

Feliks BURDECKI

CO ZAWIERA WNĘTRZE ZIEMI?

Czytaliście na pewno już niejedną powieść słynnego pisarza francuskiego Juliusza Verne'a? Jak wam się zdaje, która z jego fantastycznych powieści jest najbardziej niewiarygodna? Która z jego przepowiedni nie tylko się nie ziściła, lecz i nigdy się nie stanie rzeczywistością? Bo przecież większość jego fantazyj: o aeroplanie, o łódce podwodnej, o podróży dookoła świata w 80 dni, już dawno stały się rzeczywistością i dziś już nikogo nie dziwią!

Jest tylko jedna powieść Verne'a, która, moim zdaniem, na zawsze pozostanie fantazją. Mam na myśli „Podróż do środka ziemi". Można sobie wyobrazić, iż przy odpowiednim rozwoju nauki i techniki będziemy mogli dolecieć do planet, lecz nie mamy żadnej nadziei, byśmy kiedykolwiek mogli przeniknąć do środka ziemi.

Niedawno dzienniki podały, iż w Kalifornii, po półtorarocznej pracy, udało się dotrzeć na 3.000 metrów w głąb ziemi. Oczywiście, iż mowa tu tylko o wąskim leju, przez który wytryska nafta. Najgłębsze szachty nie sięgają większej głębi, jak ponad 1½ kilometra.

1½ kilometra w porównaniu z promieniem ziemi, liczącym 6.000 kilometrów — to prawie nic. Maszyna, którąby pracowała nad utworzeniem tak głębokiego leja, musiałaby pracować nieustannie w ciągu dwóch i pół tysiąca lat, ażeby

dostać się do środka ziemi. Ów lej trzykilometrowy jest także nieznaczny nawet w stosunku do pokrywy ziemskiej, której grubość wynosi „wszystkiego" 100 kilometrów. By ją przebić, musielibyśmy pracować przez 45 lat. Oczywiście, iż mowa tu o pracy tylko na niby, gdyż nie rozporządzamy takimi maszynami i aparatami, które mogłyby wgryźć się w korę ziemską na dziesiątki kilometrów. Inżynierowie, którzyby chcieli przeprowadzić ten plan, musieliby przezwyciężyć nie tylko olbrzymie ciśnienie, lecz i wielką temperaturę. Drogą doświadczeń stwierdzono, iż w miarę przenikania do wnętrza skorupy ziemskiej, temperatura wzrasta o jeden stopień co 30 metrów. Jeżeli nawet przyjąć, iż przyrost nie jest naprawdę tak wielki, to przecież w głębokości dziesiątków kilometrów spotkamy się z ogromną temperaturą. Będzie ona tak wielka, iż uniemożliwi pracę wszystkim maszynom — że nie wspominamy już o ludziach!

Co się znajduje głębiej, jakie jest wnętrze ziemi, z czego się składa jądro ziemi — na wszystkie te pytania możemy odpowiedzieć tylko przypuszczeniami.

Tak więc jedni mówią, iż wnętrze ziemi składa się z metalów, przeważnie z żelaza i niklu z dużą domieszką platyny i złota. Inni znów twierdzą, iż we wnętrzu ziemi znajdują się nie metale, lecz gazy. Niedawno jeden z profesorów amerykańskich, dr Daile wydrukował na ten temat swoją pracę. Otóż dr Daile doszedł do wniosku, iż wnętrze ziemi wypełnia płynna masa szklana. Jak wykazał rozbiór czyli analiza, skład chemiczny szkła jest zupełnie podobny do składu chemicznego tej lawy, którą wyrzucają wulkany podczas wybuchów. Ta właśnie lawa wypełnia podobno wnętrze naszej ziemi, a ją otacza masa szklana, która przechodzi stopniowo, im bliżej do powierzchni ziemi, w twarde warstwy. Jest rzeczą ciekawą, iż na podstawie swoich badań, dr Dail doszedł do wniosku, że jądro ziemi posiada temperaturę, dochodzącą do 50.000 stopni.

Łatwiej wyobrazimy sobie wysokość tej temperatury, gdy porównamy ją z temperaturą zewnętrznej powłoki słońca; otóż temperatura ta dochodzi zaledwie do 5.000 stopni, to znaczy, iż jest dziesięciokrotnie niższa!

Tak więc, nie metal i nie gaz, lecz lawa i płynne szkło mają wypełniać podobno wnętrze naszej planety. Jest rzeczą oczywistą, iż musimy na zawsze zrezygnować z zamiaru przedarcia się do gorącego środka ziemi i przekonania się o tym, czy profesor amerykański ma rację. Może jednak kiedyś zostanie zbudowany taki aparat, który pozwoli nam ujrzeć, co się dzieje we wnętrzu naszej ziemi, jak promienie Roentgena pozwalają nam wglądać w głąb człowieka?

Ludwik RON

STACH

HARCERZ JEST KARNY I POSŁUSZNY RODZICOM I PRZEŁOŻONYM

Od chwili aresztowania Czarnego minęło zaledwie parę godzin, a wydawało się, że to jakiś długi i zupełnie nowy okres. Stach pracował te parę godzin, jak sprawna maszyna. Krótkie, urywane zdania decyzji, szybkie zdecydowane ruchy, a w głowie jasne, precyzyjne myśli. Dokonano już dziesiątek zwykłych czynności, naprawiających nadszarpniętą koronkę podziemnej roboty. Stach, będąc zwierzchnikiem Czarnego, był ośrodkiem i mózgiem tej roboty. Aktywność jego była tak wielka, że podwładnym zdawał się dwoić, troić, być obecnym jednocześnie w kilku miejscach. Spokój, nieledwie chłód myśli, i ta niezwykła aktywność kryły jednak pod zewnętrzną maską wewnętrzną burzę.

Tę burzę wyczułem, gdym go zobaczył o ósmej rano tego dnia: czekał na mnie, by wymusić z siebie dwa wyrazy: „wzięli Czarnego". Tę burzę wyczułem widząc, jak w drodze między dwoma punktami swej pracy wyjął z kieszeni dużą fotografię przyjaciela i z czułym uśmiechem się jej przyglądał. Wtedy rodziła się w Stachu myśl, powstawał plan, jak owa burza namiętny i szalony, jak ów chłód i aktywność zimny i realny: odbić Czarnego! Wówczas, gdy naklejona na murze nalepka lub napisany kredą znak należały do najmocniejszych argumentów naszej walki — odbić! Pierwszy raz od trzech i pół lat przeciwstawił się ponuremu biegowi rzeczy między celą na Pawiaku i pokojem referenta-bestii w Alei Szucha. Całej potędze zbrodni rzucić głosem stenów i coltów namiętne żądanie „Oddajcie"!

Plan rósł z godziny na godzinę. Ogrom własnej woli tchnął Stach w swe otoczenie. W parę godzin później wszystko zaczęło przybierać realne kształty: rozpoznanie szło swoim trybem, w magazynach przygotowano broń i amunicję, na odprawach instruowano wykonawców. Gdy zbliżała się godzina akcji, wszystko było na ukończeniu. Brak tylko jednego jedynego elementu: decyzji władz wojskowych. Stach wie, że tu nie chodzi o drobną akcję, wie, że akcja ta odbije się gromkim i szerokim echem po stolicy i dlatego coraz częściej patrzy na zegarek, coraz częściej pyta, czy spotkanie z władzami jeszcze nie doszło do skutku. A jednocześnie, patrząc w krótkich przerwach na fotografię Czarnego, mówi mu z uśmiechem „poczekaj jeszcze trochę, wytrzymaj"...

Myśli o tym, co Czarny w tej chwili musi wytrzymać, przyśpiesza tylko tempo pracy. Wreszcie wszystko gotowe. Oddział rozstawiony

wzdłuż ulicy czeka sygnału. Auto za chwilę nadejdzie. Wiozą nim Czarnego.

Ostatnie minuty. I ostatnia nadzieja skomunikowania się na czas z władzami wojskowymi — rozwiewa się. Podchodzę do Stacha. Stoi wpatrzony w ulicę, skąd ma nadjechać auto; ręka w kieszeni na pistolecie, brwi zmarszczone.

„Stach! Pozwolenie dowództwa nie nadeszło, decyduję odwołanie akcji".

Jestem przygotowany na protest, na wybuch argumentów. Mija chwila milczenia — auto za parę minut nadjedzie.

„Trzeba powiedzieć chłopcom, że Czarnego tym razem nie wiozą, inaczej odwołanie akcji wywoła wielkie załamanie" — Stach mówi to spokojnym, dziwnie spokojnym głosem. Patrzę mu w oczy, ściskam mu dłoń, nie odpowiadam ani słowa.

Zarządzamy odwołanie akcji z motywowaniem, obmyślonym przedtem przez Stacha. Po trzech dniach, po powtórnie zmontowanej i doprowadzonej do zwycięskiego końca walce dowiedzą się dopiero całej prawdy. Tymczasem ostatni z nich znikają za rogiem ulicy. Pozostajemy we dwóch na skrzyżowaniu Bielańskiej i Długiej.

Od strony Placu Teatralnego jedzie auto więzienne. Wiemy, że jedzie w nim Czarny, dzieli go od nas zaledwie parę metrów. Czuję, jak Stach zaciska dłoń na pistolecie, a mnie w mózgu układa się tylko jeden wyraz: karność, karność, karność. Auto znika w ulicy. Bez słowa zawracamy ku śródmieściu, a gdy potem milcząco wchodzimy do małego kościółka przy ulicy Moniuszki, mam pełne przeświadczenie, że byłem świadkiem najwyższego misterium pojęcia karności.

(Pismo Młodych „BRZASK", wychodzące w Kraju, Nr 1 z dnia 15. II. 1944 r.)



SŁUŻBA HARCERZY W PŁONĄCEJ WARSZAWIE

Przybyła przed kilku miesiącami z Warszawy obywatelka szwajcarska ze zgrozą opowiada o życiu walczącej Warszawy. Wyjątki z tego opowiadania podajemy za Gazetą Polską z dnia 9 stycznia 1945 roku.

„Na fotelu siedzi prawie bezwładna kobieta, na której twarzy zupełne wyczerpanie i ponure przeżycia wyryły swe głębokie ślady. Kobieta jest jeszcze młoda, wygląda jednak na dwa razy starszą, a kiedy spoglądamy w jej oczy, zdaje się nam, że przed nami siedzi staruszka.

— A więc Pani przyjechała z Warszawy, czy Pani jest Polką?

— Nie. Według paszportu jestem Szwajcarką — odpowiedziała kobieta bezdźwięcznym głosem. —Ale tragedia Polski i jej stolicy jest również tragedią mojego życia.

Polska bowiem stała się moją ojczyzną. Rodzice moi osiedlili się w Polsce, kiedy miałam trzy lata. Bawiłam się z dziećmi polskimi, chodziłam do polskich szkół, odbyłam tam wyższe studia, byłam z Polakiem zaręczona... Nie, nie jestem Polką, ale żyłam życiem polskim...

Młoda kobieta przeciąga ręką po czole, jakby chciała odegnać od siebie jakąś zmorę... Wreszcie zaczyna opowiadanie ciężko, zacinając się, często przymyka powieki, tylko drganie jej twarzy zdradza, że mówiąc przeżywa po raz wtóry potworną grozę wypadków, które przez kilka tygodni postarzały ją o kilkadziesiąt lat.

... Po dwóch tygodniach wyczerpaliśmy całkowicie cały nasz zapas żywności pomimo, że bardzo zmniejszyliśmy nasze codzienne posiłki. Już w pierwszym dniu powstania, dn. 1 sierpnia, wszyscy mieszkańcy kamienicy zgromadzili się w piwnicach i od tego czasu wszyscy prowadziliśmy jedno wspólne gospodarstwo. Dzieliliśmy po bratersku wszystko między siebie. Tak samo było zresztą we wszystkich innych piwnicach warszawskich. Już jednak od pierwszych dni odczuwaliśmy brak wody. Po czternastu dniach nie mamy nic do jedzenia.

Wodę dostawaliśmy w nocy. Kilku odważniejszych mężczyzn — byli to starcy — ponieważ każdy, kto był zdolny do noszenia broni, ten walczył — i kilka krzepkich młodych dziewcząt przynosiło wodę w kubłach. Przez wyrwy w murach przechodzili oni z jednej piwnicy do drugiej, aż wreszcie dostawali się na podwórze jakiegoś zniszczonego domu. Tam w zagłębieniu ścieku było trochę wody. Nie dużo. Każdy dostawał około litra na dzień. Ale nie więcej. Obawialiśmy się, aby tego zbiornika zbyt szybko nie wyczerpać. Poza tym zaś liczba mieszkańców naszej piwnicy szybko rosła, ponieważ przybywali do nas ludzie z sąsiednich domów, które zniszczył pożar lub bombardo-

wanie. Skrupulatne wydzielanie wody było więc naglącą koniecznością.

Wkrótce powstały jakby dwie Warszawy: jedna — to ta piękna i odważna Warszawa, ta, która walczyła i umierała — i ta druga dosłownie podziemna Warszawa, która usiłowała przetrwać w tym straszliwym zniszczeniu. Na ulicach srożyły się pożary tak, że nie można było chodzić, a w dzień i noc ciągle bezładnie padały granaty i bomby.

Piwnice wszystkich domów zostały połączone wyłomami w murach lub podziemnymi przejściami tak, że wkrótce powstała druga sieć ulic podziemnych pod ulicami na ziemi, które się paliły nad naszymi głowami.

Ludzie, którzy nieustannie przybywali do naszej piwnicy, byli w opłakanym stanie, w na pół spalonych łachmanach, brudni, często ranni i strasznie zawszeni.

Była jedna cudowna rzecz w tej podziemnej Warszawie: działała poczta.

Cóż miałam za radość, gdy harcerz, chłopiec może 14-letni, przybył do piwnicy z torbą listonosza i doręczył mi list od mej rodziny, która tak samo, jak ja, mieszkała w drugim końcu miasta, w piwnicy na Mokotowie. Harcerz ten i jego rówieśnicy, którzy byli jeszcze za młodzi, aby brać udział w walkach, wędrowali, aby się do nas dostać labiryntem licznych obejść i przejść podziemnych.

Zgłosili się oni do tej służby ochotniczo i często ich kurs wynosił 40 km dziennie. Przynosili nam nie tylko pocztę ale również, i to było drugim cudem podziemnej Warszawy — gazety. W tym czasie, kiedy toczyły się krwawe i bezlitosne walki, wychodziło tygodniami bez przerwy przeszło trzydzieści rozmaitych gazet — pism podziemnych patriotów polskich, które teraz kolportowano dosłownie pod ziemią.

Mieliśmy jedno wielkie pragnienie: wiedzieć, co się dzieje na świecie, i że na frontach sytuacja rozwija się dobrze ogólnie, a więc także dobrze i dla Polski. Jakże jednak trudno było czytać te gazety. Przez cały dzień żyliśmy w ciemnym półmroku, a w nocy panowały nieprzeniknione ciemności. Nie było już światła elektrycznego, ponieważ na samym początku powstania elektrownia stała się terenem walki, a Niemcy przez gwałtowne bombardowanie rozbili ją doszczętnie. Nie było również gazu, a na luksus posiadania latarki elektrycznej lub świecy nie mógł sobie nikt w Warszawie od wielu lat pozwolić. Tak, od dawien dawna przywykliśmy do tego, aby żyć w nędznych warunkach, bez dobrodziejstw tych wszystkich codziennych wygód, które wydawały się nam w r. 1939 samo przez się zrozumiałe tak, że nie zwracaliśmy na nie najmniejszej uwagi.

W czasie dnia płacz małych dzieci, które głodowały, stawał się nie do zniesienia. Dzieci nieustannie dopominały się o jedzenie coraz słabszymi głosikami.

Matki i inne osoby dorosłe ograniczały się w jedzeniu do minimum, byleby tylko dać dzieciom pożywienie, ale naprawdę mieliśmy mało, badzo mało żywności. A przecież trzeba być przezornym, dzielić się z innymi, nie zjeść wszystkiego naraz, nie wiadomo bowiem, ile dni lub tygodni trzeba będzie jeszcze przetrzymać. Racje żywnościowe starczały na to, aby zapełnić na krótki czas pustkę w żołądku ale nie na to, aby głód naprawdę zaspokoić.

A potem ranni! Brakło lekarstw, lekarzy, a nade wszystko narzędzi chirurgicznych. Ciężko ranni umierali prawie bez wyjątku. Starcy i dzieci ginęli z wyczerpania. Zwłoki leżały często przez cały dzień wśród nas w pobliżu i rozkładały się szybko w gorącu sierpniowego dnia. Parę razy udawało się nam, gdy walki trochę przycichły, pochować zwłoki z konieczności na podwórzu. Inni pogrzebani zostali w ruinach zburzonych domów.

Ci zaś, których śmierć zaskoczyła tam, na górze, w mieszkaniach, leżą w ruinach i nie zostali pochowani. Wszędzie dokoła rozkładają się te niepochowane zwłoki. Jakież to niebezpieczeństwo epidemii!

O praniu nie było mowy. Przez cały miesiąc i dłużej nie zmienialiśmy bielizny i ubrania. Brak wody unieruchomił wszystkie urządzenia sanitarne. Tak więc żyliśmy pod względem higienicznym w gorszych warunkach niż ludzie jaskiniowi.

ORLĘTA WARSZAWY

Kiedy z wolnej Ojczyzny spadnie kir żałoby,
Gdy myśl nasza ku przeszłym, krwawym dniom uleci,
Gdy w ołtarze zmienimy męczenników groby,
Nie zapomnimy o Was, bohaterskie dzieci!
Będziemy pamiętali bezprzykładne męstwo,
Nie zaginie w pamięci krwi waszej ofiara
I dumne ślubowanie: „Śmierć albo zwycięstwo"!
I ta ręka żołnierska, bezimienna, szara...
Będziemy pamiętali te drobne rączyny,
Dźwigające karabin... zaciekłe... uparte...
Wasze męstwo dojrzałe i wspaniałe czyny
Będą w dziejach narodu pisać swoją kartę.
Ginęliście na szańcach, mali bojownicy,
Śmierć was w życia zaraniu pokotem kosiła,
Ciała wasze walały się w kurzu ulicy,
Lecz wyście trwali, póki Ojczyzna walczyła.
A gdy będziecie, dzieci, u wrót Boskich stały,
Gdy będziecie przed Sędzią, który czyny mierzy —

Dobry Boże! Przyjmij je do Twojej chwały,
Bo te dusze należą do prawych żołnierzy.

Wiersz z Kraju



Jedzie jejmość Zima
gniewnie się nadyma:
gruba, mocna, zadzierżysta,
ma sukienek chyba trzysta,
hej, kto jej dotrzyma?

Patrzą się ludziska,
strach im serce ściska.
Będziem modlić się do Boga,
może minie zima sroga,
może wiosna bliska? —

Z GAZETKI ŚCIENNEJ KURSU ZASTĘPOWYCH W NAZARECIE

Na tle czystych lazurów zarysowują się wyraźnie ciemne, smukłe i dumnie strzelające ku niebu wieżyczki kościoła. Złote słońce oświeca srebrny, blaszany dach, od którego bije blask tak wielki, jak gdyby chciał przyciągnąć do siebie ludzi. I rzeczywiście, biedny jest kościółek, bo stoi sam, smutnie patrząc na świat oczyma kolorowych witraży...

Zachrzęściły suche, leżące na ziemi listki i gałązki. Najpierw wychyliły się z za drzew dwie rączki, później główka, aż wreszcie cała postać niedużego dziewczęcia.

— Cóż ona tu robi? — szeptały drzewa, ptaki i całe otoczenie...

Lecz nie musiały długo czekać, bo wkrótce ruchy dziewczynki odpowiedziały na to pytanie. Mała harcerka postąpiła jeszcze parę kroków, aż znikła za drzwiami kościółka. Harcerka wiedziała bowiem dobrze, jak cierpi Ojczyzna, dlatego też przyszła prosić Boga, aby raczył zdjąć kajdany z jej rąk. Błagała też Stwórcę o to, aby pozwolił jej służyć Polsce, która jest matką nas wszystkich.

Po skończonej modlitwie mała harcerka wyszła z kościoła. Idzie, posuwa się a las ucieka, ukazują się już domki miasta.

Wtem na drodze, po której szła dziewczynka, wyrosła jakaś postać z rozwianym włosem. Biegnąc i machając nerwowo rękoma, postać ta krzyczała głośno i rozpaczliwie:

„Kto kocha Polskę, niech idzie na rynek do miasta, bo tam dzieci polskie wsadzają do aut, chcą wywieźć do Niemiec. Ratujcie więc niebożęta, rodacy — przecież to przyszłość narodu!"

W ludziach budziła się chęć zemsty. Więc też, kto mógł, biegł na rynek, aby coś poradzić. Wraz z innymi biegła i owa dziewczynka.

Na rynku działo się coś, co żadnymi słowami nie da się wypowiedzieć. Dzieci w wieku mniej więcej od 10 do 15 lat wciągano przymusem za ręce do wozów ciężarowych. Jedno z nich z wielkimi kroplami potu na czole, z ustami wykrzywionymi z bólu, upadło jak nieżywe na ziemię. Wówczas znalazł się ktoś, kto ulżył, kto wspomógł.

Była to właśnie owa mała harcerka. Skoczyła natychmiast do pobliskiej chaty i wyszła z niej wkrótce, niosąc kubek napoju. Zbliżywszy się do leżącego dziecka, podała mu wodę.

Zemdlona dziewczynka otworzyła po chwili zapłakane oczka i rzekła:

— Dziękuję Ci.

Tymczasem żołdacy niemieccy, którzy zajęci byli wpychaniem polskich dzieci do wozów, zobaczyli co zaszło, i wkrótce harcerka była już w gronie tych nieszczęśliwych.

Znalazłszy się tam powzięła w duszy mocne postanowienie:

"Polsko, na razie muszę Cię pożegnać, ale obiecuję Ci, że wrócę i dołożę cegiełkę do Twej odbudowy".

Wiesława URZĘDOWSKA, pion.



NA GROMNICZNĄ

Mróz w cichą lutową nockę
o długiej zimie baśń prawi
i bezlitosnym uściskiem
skostniałe olszyny dławi.

Polesia białe równiny
śpią snem zimowym ujęte,
do wierzb, staruszek garbatych,
tulą się wrony zmarznięte.

Księżyc zapala iskierki
w przedziwnej śniegów pościeli,
bielszej na pewno od puchów
cudownych skrzydeł anielich.
Wtedy przez pola i lasy
i przez równiny te puste

idzie Najświętsza, spowita
w krakowską, wełnianą chustę.
W przezroczych, litosnych dłoniach
trzyma gromnicę woskową,

światłość się jasna rozsnuwa
nad cichą, świętą Jej głową...
A Ona idzie przez senne
i ośnieżone Polesie,

zapowiedź rychłej już wiosny
ludziom, ptakom, lasom niesie.
I śnią o słonku równiny
poleskie — białe i puste,
gdy ujrzą krasną, krakowską
Maryi Gromnicznej chustę.

M. A. KASPRZYCKA

NA UROCZYSTOŚĆ MATKI BOSKIEJ GROMNICZNEJ

Kto nie zna pięknego obrazu naszego znakomitego artysty — malarza Piotra Stachiewicza, przedstawiającego Matkę Najświętszą w szacie jakby z mgły śnieżnej, z gromnicą płonącą w ręku? Za Nią cicha polska wieś, białym puchem śnieżnym okryta, pod ciemnym niebem, z którego głębi słabo świecą gwiazdy.

Matka Boża stoi na śnieżnym polu przed opłotkami i nachylonym ku ziemi światłem gromnicy odpędza od uśpionych zagród wieśniaczych stado zgłodniałych wilków. Otaczają one kołem Najświętszą Pannę, wyją i ujadają, ale żaden zbliżyć się nie śmie, odpędzany światłem gromnicy.

Piękna legenda — wyraz głębokiej wiary ludu w opiekę Najświętszej Panny i moc Jej gromnicy w chwilach śmiertelnej trwogi.

W uroczystość Oczyszczenia Najświętszej Maryi Panny Kościół święci przed Mszą św. gromnice. Nazwa tych świec pochodzi od gromu. Lud katolicki w wielu okolicach Polski zapala je w czasie grożącej burzy z wiarą i modlitwą, aby Bóg raczył odwrócić nieszczęście gromu od domostw. Zapala się też tę gromnicę i wkłada w rękę konającemu, aby światło tej świecy było mu, jakby światłem wiary, rozświecającej drogę w światłość wiekuistą. Zespolenie święcenia gromnic z świętem Oczyszczenia złączyło z Matką Bożą świecę gromniczną.

Na wielu obrazach, wyobrażających Oczyszczenie Najświętszej Maryi Panny a zarazem ofiarowanie Syna Bożego w Świątyni Jerozolimskiej po 40 dniach od narodzenia, zgodnie z przepisami prawa Starego Testamentu, malarze przedstawiają Matkę Bożą z świecą w ręku.

Światło w ręku Matki Bożej na odwrócenie gromu i na odpędzenie szatana, czyhającego w chwili śmierci człowieka, stało się zapewne podstawą legendy o Matce Boskiej, odpędzającej wilki, czatujące na ludzi, zbłąkanych w śnieżnych zadymkach.

Wielki król Aleksander na dworze swoim ustawił razu pewnego płonącą świecę, a na krańce państwa swego wysłał swych urzędników. Urzędnicy ci mieli każdemu ogłosić, że kto zawinił przeciwko królowi a zgłosi się i przyzna do winy w ciągu tego czasu, kiedy świeca się jeszcze pali, temu król daruje wszelką winę. Kto zaś do wygaśnięcia świecy nie przybędzie, ulegnie wykonaniu kary śmierci.

Kiedy poddani o takim edykcie się dowiedzieli, pośpieszyli do króla z prośbą o przebaczenie. Król przyjął ich litościwie, okazując wyrozumienie i miłosierdzie.

Znalazło się jednak wielu, którzy przyjść nie chcieli i zlekceważyli sobie edykt królewski. Kiedy więc płomień świecy zgasł, król kazał tych, co nie przyszli, przyprowadzić siłą i ukarać śmiercią.

Miłosiernym królem wobec nas wszystkich jest Pan Bóg. Jak długo pali się świeca naszego żywota, mamy możność korzystania z Miłosierdzia Bożego. Lecz gdy płomień życia naszego zgaśnie, wówczas będzie za późno, miłosierdzie zastąpi sprawiedliwy sąd. Życie nasze jest krótkie, dziś jeszcze płonie. A jutro czy płonąć będzie? Bóg jeden wie.

Ks. Piotr PIETRUSZKA

POLSKA A MORZE

Kochani Druhowie! Że sprawa polska może być przedmiotem sporu, przekonałem się o tym osobiście w chwili, gdy Wasz Redaktor zaczął namawiać mnie usilnie do napisania tego artykułu. Jestem z natury najczystszym typem „szczura lądowego". Urodziłem się w okolicach, gdzie nie tylko do morza, ale i do pospolitej rzeki nie było wcale blisko, i ten szczegół ciąży na mnie „przekleństwem dziedziczności". Morze widziałem parokrotnie w Gdyni, a przepływałem dotąd raz jeden jedyny i to nie prawdziwe morze, ale raczej ogromne jezioro (Kaspijskie). Gdzież tu więc przy tym aż nadto luźnym kontakcie moim z morzem zabierać się do artykułu o Polsce i morzu?...

Kiedym się więc od tego tematu wykręcał, prawo było całkowicie za mną. Silniejszym się okazał Wasz Redaktor. Rezultat: macie artykuł pisany już nie tylko przez niefachowca, ale wręcz przez laika. Nie szukajcie więc w nim statystyki, wykresów, cyfr, ani innych subtelnych dociekań. Niech Wam wystarczy to, co pospolicie zwie się prostym, chłopskim rozumem. Na nim tylko próbuję oprzeć swe wywody.

. . . .

Był kraj ubogi, o klimacie dżdżystm, o glebie nie specjalnie urodzajnej. Ludność jego zajmowała się uprawą roli, lecz wykonywała ten obowiązek bez zamiłowania, po prostu z konieczności, bo innych źródeł dochodu nie było. Nędza w kraju wciąż rosła, a w ślad za nędzą, jak to często bywa, wzrastały w liczbę przestępstwa. Kradzieże w pewnym czasie tak się rozpowszechniły, że, by je zahamować, chwycono się iście drakońskich środków. Na stryczek skazywano każdego złodzieja, który ukradł na sumę wystarczającą na to, by kupić sznurek konopny. Lecz nic nie pomagało. Podczas egzekucji ginął na stryczku jeden, a nowych kilkunastu ogałacało sprytnie kieszenie gapiów.

Był inny kraj, choć często przez wojny nawiedzany, przecie mający i skarb zaopatrzony i mieszkańców żyjących w dostatku. Dużo dochodów dawała bujna gleba, lecz więcej jeszcze dwa szlaki handlowe, wiodące jeden od morza na południe, drugi z zachodu na wschód. Szlakami tymi ciągnęli kupcy z towarami, płacili cło i chętnie sprzedawali towary. Miasto, gdzie oba szlaki krzyżowały się, do takiej zamożność doszło, iż mieszczanin tamtejszy potrafił obcym królom, przybyłym tu na zjazd monarszy, wystawne urządzić przyjęcie.

Ten pierwszy kraj — to Anglia z czasów przedelżbietańskich, drugi — to Polska z późnej epoki Piastów, z doby Kazimierza Wielkiego, fetującego głowy koronowane w domu mieszczanina krakowskiego Wierzynka.



ZAŚLUBINY POLSKI Z MORZEM

Cóż to się stało, że dziś właśnie Anglia przoduje Europie zamożnością, my zaś uchodzimy prawie za nędzarzy?..,

Elżbieta otworzyła swojemu krajowi drogę na morze, a przez nie w świat szeroki, nieskrępowany granicami. Stworzyła handel, wraz z rozwojem którego wzmógł się przemysł; podniosła tą drogą dobrobyt społeczeństwa, a przez to dopomogła również do podniesienia poziomu moralności, gdyż przestępstwa, popełniane z nędzy, siłą rzeczy przestały się zdarzać.

Przeciwnie, Polska, posiadłszy bogate w żyzną glebę ziemie wschodnie, utraciła poczucie, poprzednio posiadane, wartości morza oraz dróg handlowych. Zaniedbała więc rozwój własnego przemysłu, nie zatroszczyła się o rozwój rodzimego handlu, obce towary kupując za zboże. Rósł w bogactwo poszczególny obywalet kraju, lecz skarb pustoszał, upadały miasta, malała siła zbrojna, na której utrzymanie niezbędne są poważne zasoby państwowe... O rezultatach mówić nam nie trzeba!...

Polska, szerokim skrzydłem o morze oparta, ma więcej danych na przyszły swoj rozwój, niż rozrośnięta nawet w swych granicach, ale dostępu do morza nie mająca, lub też mająca dostęp zbyt mały na swoje potrzeby. Miniony nasz okres potęgi — to epoka, gdyśmy od Gdańska przez Koszyce łączyli Bałtyk z morzem Adriatyckim, a przez skrzyżowanie w Krakowie tej drogi z drogą, wiodącą z Wrocławia na Lwów i na Kijów — Bałtyk z morzem Czarnym.

. . . .

Znajdujemy się dziś w bardzo skomplikowanej lecz i ciekawej na przyszłość sytuacji. Część nas cierpi i trwa w Kraju, część przemocą wciągnęła w siebie niemiecka machina wojenna, część przymusowo zwiedza rozległe tereny Rosji. Niemała garstka znalazła się takich, których właśnie jak nas rozsiał los po rozmaitych krajach. Ta okoliczność może poważnie oddziałać na dalszy rozwój losów naszego państwa.

Gdy pierwsi emigranci wyruszali ongiś z Anglii do Ameryki, nie byli to ludzie całkowicie świadomi, czym się w przyszłości staną. Wielu z nich — byli to emigranci z musu, tacy, na których ciążyły przestępstwa i których gnała w świat chęć uniknięcia kary, lub tacy, którzy z kraju uchodzić musieli ze względu na swe przekonania.

Ich przymusowy „exodus“ z ojczystej ziemi był klęską dla nich osobiście, okazał się zaś zbawieniem dla obu ich Ojczyzn: i starej, którą opuścili, i nowej, w której znaleźli schronienie. Czyśmy obecnie tego przykładu dziejowego nie powinni mieć żywo w pamięci?...

Rozlecieliśmy się po świecie „jako piasek nadmorski, ruszony podmuchem“, mówiąc słowami Jana Pawła Woronicza. Dla nas to jest bezwzględnie przykre, lecz dla dobra Polski może się to okazać wcale

nie najgorszym. Z Bałtyku — droga na Atlantyk, a z Atlantyku wszędzie tam, gdzie dziś ziemię depce polska stopa.

Przed wojną w życiu międzynarodowym cierpieliśmy na jedną wielką słabość: nikt nas nie znał należycie i myśmy innych jak trzeba nie znali. Niewola wychowała nas w walce o swoje. Nie mogła nas nauczyć rozmachu życiowego. Dziś się stykamy z tymi, o których wówczas ledwośmy słyszeli, i poznajemy ich. Oni zaś nas nawzajem. Z wzajemnego poznania mogą wyrość kontakty, wymiana dóbr, współpraca, współdziałanie.

Wielkie wojny mają to do siebie, że niosą w znacznej mierze zagładę ludzkości, ale też otwierają nowe drogi dla jej dalszego rozwoju. Epopea napoleońska dała w swym głębszym wyniku umiędzynarodowienie handlu i otwarcie oczu Europie na inne części świata i ich rolę. Wojna obecna — zdaje się — do małych nie należy. Nie może więc też mieć małych wyników. Polska nieuszczuplona, naprawdę wolna i niezależna, byle pani swych planów, zamierzeń i dążeń, przyszłość przed sobą znajdzie w kontakcie ze światem szerokim, dziś przez siebie poznanym i z sobą bardziej zżytym. A do kontaktu tego potrzebne jest morze.

Nie chodzi przy tym tylko o kontakt handlowy, o możliwości korzystnego spieniężenia naszych bogactw i korzystnego nabycia dóbr. Chodzi również o zyski natury moralnej.

Zdobycie przez nas szerokiego dostępu do morza — to rozpoczęcie od nowa życia politycznego, ale już z możliwością uniknięcia poprzednio popełnianych błędów, to istotne nabranie szerszego oddechu i zerwanie z tą dziwną zaściankowością życia, przy której się wydaje, jak Aldonie z „Konrada Wallenroda", że własny kraj jest tak olbrzymi i rozległy, iż sam sobie we wszystkich okolicznościach wystarczy.

O tym warto pomyśleć w dwudziestą piątą rocznicę zaślubin Polski z morzem.

Dr Walerian KWIATKOWSKI

... W mroźny, lutowy poranek się to zaczęło. W tę chwilę świętą niezapomnianą, gdy Błękitny Generał Józef Haller wjechał konno w morze i rzucił w fale morskie pierścień złoty na znak, że oto w imieniu Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego obejmuje z powrotem władzę nad wodnym przestworzem. To działo się w Pucku. Tam też stanął słup kamienny, wbity na wieczystą pamiatkę tej chwili. Na słupie wyryto napis:

ROKU PAŃSKIEGO 1920, DNIA 10 LUTEGO WOJSKO POLSKIE Z GENERAŁEM HALLEREM NA CZELE OBJĘŁO W WIECZYSTE POSIADANIE POLSKIE MORZE.

P R Z Ą D K I

Do bardzo starych zwyczajów polskich zaliczyć można tak zwane „prządki", czyli „wieczory prządkowe", które odbywały się w chatach i we dworach.

Po przeprowadzonej starannie w miesiącach wiosennych i letnich uprawie lnu i konopi, po zebraniu obu tych roślin i przygotowaniu ich do przędzenia przez miesiące jesienne, przędzono je w długie wieczory zimowe.

We dworze, w izbie czeladnej, pani, len pomiędzy dziewczęta i niewiasty służebne rozdzieliwszy, nieraz sama wśród nich z robotą zasiadała.

Ogień płonął wesoło na kominie, kręciły się wrzeciona, furkotały kołowrotki, czasem popłynęła piosenka, czasem najwymowniejsza z prządek opowiedziała bajkę, pełną cudów lub tajemniczej grozy. I tak schodził wieczór za wieczorem. Rosły motki szarego przędziwa, które z kolei zabierali tkacze wioskowi, by je przerobić na płótno.

Haur, pisarz XVII wieku, który w swej *Oekonomice ziemiańskiej* wiele rad i praktycznych, ze sprawami gospodarczymi związanych, przepisów pozostawił, poucza, iż tkaczów tych „dobierać było trzeba, aby dobrze i gęsto tkali".

Podaje on dokładny rachunek, ile na jakie płótno należało wydzielić przędziwa, i kończy praktyczną uwagą, że „dla sieci naprawy, powrozów, postronków z sznurków, także gwoli innym potrzebom i wygodzie domowej, pamiętać należy zostawić konopi nieczesanych".

W podobny sposób odbywały się wieczory prządkowe po chatach i po domach szlachty zagonowej. Na cel ten wybierano domostwo, które najobszerniejszą izbę posiadało i tu się schodzono dla przędzenia, czasem dla tkania lub dla darcia pierza. Michał Federowski, etnograf polski z doby obecnej, pisze, iż zwykle uczestnicy takich wieczorów siedzą do wieczerzy, w dnie zaś poprzedzające święta i niedziele dopiero o północy lub nad ranem rozchodzą się na spoczynek. Czas, w którym prządki zaczynają się schodzić, przypada w drugiej połowie listopada i przedłuża się do ostatnich dni mięsopustu. Lud ma przysłowie: „Od Godów do Nowego Roku siedzą prządki do zmroku, a od Nowego Roku do Trzech Króli do samej wieczerzy".

Jednak nie znaczy to, by w tych dniach świątecznych robota trwała aż do chwli rozejścia się. W te tzw. Święte Wieczory zebrane pracownice przędły tylko do zmroku. Reszta czasu schodziła im na śpiewaniu kolęd i pieśni nabożnych. Każda dziewczyna, idąca na „prządki", musiała mieć ze sobą potrzebne przybory, więc przęślicę, kręziołek i motowidło oraz coś do przegryzienia, gdyż poczęstunku na tych wieczorach, o ile się po chatach odbywały, zwykle nie rozdawano.

Czasem gromadka wesołych parobczaków, czasem ktoś z wiejskiej starszyzny dotrzymywał towarzystwa prządkom. Po chatach, po małych dworkach,

zarówno jak w czeladnej izbie wielkich dworów, urozmaicano sobie czas przy pracy śpiewem lub opowiadaniem bajek. Nieraz też ostrzył się dowcip zebranych na zagadkach, często niełatwych do odgadnięcia.

Oto, jak niektóre z nich brzmiały:

— Gadaj mi to: Ma wiele ran, a jest bardzo mocno związan, upomina nas ku robocie, ma wielką dziurę w żywocie, maca, lubo jest bez rąk, a chodzi, nie mając nóg, każdy się nim sprawuje, bowiem on nam rozkazuje; powróz wszystko dokonywa, bo mu tę naukę dawa.

Odpowiedź: Jest tam zegar. Tam powrozy naciągają, na których wagi wieszają.

Gadaj mi to: Czego Pan Bóg nie zna, papież rzadko, ale prosty człowiek na każdy dzień?

Odpowiedź: Sobie równego.

Gadaj mi to: Leciał ptak bez pierza na drzewo, będące bez liścia. Przyszła pani bez ust i zjadła tego ptaka.

Odpowiedź: Upadł śnieg na drzewo w zimie. Przyszło słońce i stopiło go.

Dziś, wobec rozwoju przemysłu fabrycznego, wobec upadku domowego tkactwa, len i konopie wędrują od razu do fabryk, a sztuka przędzenia zanika po dworach i po chatach, zanikają też wieczory prządkowe. Szkoda tego miłego, prastarego obyczaju, szkoda tych zebrań, na których wielki i ciekawy skarb pieśni, podań, gadek i przypowieści ludowych tak bujnie się przejawiał.

Maria DYNOWSKA



Nasze góry w zimowej szacie

PRZY KĄDZIELI

...Już o dobrym wieczorze zaczęli się schodzić do Kłębów na oną prząślicową wieczornicę.

Kłębowa sprosiła głównie same starsze kobiety, powinowate sobie, albo w kumostwie będące. Przychodziły też w porę jedna za drugą, ni zawodząc, ni się zbytnio opóźniając, boć każda kuma rada ciągnęła do drugiej, aby się zgwarzyć społecznie i co nowego posłuchać.

Najpierwsza, jak to miała we zwyczaju, przyszła Wachmikowa z kłakiem wełny w zapasce i z wrzecionami zapasowymi pod pachą; potem przyszła Gołębowa, Mateusza matka, skrzywiona, kiej po occie, z obwiązaną gembą, narzekająca wiecznie i cięgiem się skarżąca na wszystko; a po niej, niby ta rozgdakana, odęta kwoka, przyszła Walentowa, po niej Sikorzyna, chuda, kiej miotła, turkot baba i w sąsiedzkich swarach najzaciętsza; a po niej wtoczyła się, gruba kiej beczka, Płoszkowa, czerwona na gembie, spaśna, zestrojona zawdy, dufna w siebie, dworująca nad wszystkie i wyszczekana, jak mało która, ale ogólnie nielubiana; tuż za nią wsunęła się cicho, czająco kiej ten koczur, Balcerkowa, sucha, mała, zawiędła, ponura a sielna procesownica, która z pół wsią za łeb się wodziła i co miesiąc stawała na sądy; a po nich wlazła hardo, choć i nieproszona, Kobusowa, Wojtka żona, pleciuch najgorszy i zazdrośnica niepomierna, że strzegli się jej przyjacielstwa kiej ognia... Przyszła i stara Sochowa, mać Kłębowego zięcia, cicha kobieta, pobożna wielce i wraz z Dominikową najwięcej w kościele przesiadująca; przyszły i drugie jeszcze, insze, ale już nie tak wybrane, o których nie wiada, co rzec, bo podobne sobie, kiej te gąski w stadzie, że nie rozpoznał jednej od drugiej, chyba jeno po obleczeniu — a zeszło się razem sporo babiego narodu i z czym która miała: to z wełną do oprzędu, to ze lnem, to z pakułami, a niektóre z szyciem, albo z tą przygarścią pierza do zdarcia, by ino nie dać pozoru, jako się zeszły po próżnicy, na rajcowanie.

Sadowiły się wielkim kołem w pośrodku izby, pod lampą, wiszącą u pułapu, kiej te krze na szerokiej grzędzie, rozrosłe, dostałe i późną jesienią owarzone, bo starsze już były, prawie jednolatki.

Kłębowa wszystkim zarówno była rada, witając się z każdą cicho, że to słabowała na piersi i głos miała cedzący, zadychliwy; Kłąb zaś, jako człowiek ludzki, mądry i zgodę ze wszystkimi trzymający, to prawił miłe słowa i sam stołki a ławy podsuwał.

Nadeszła później nieco Jagusia z Józką i Nastką, a z nimi jeszcze parę dziewczyn, za którymi ściągali w pojedynkę parobcy.

Sporo ludu się nabrało, boć i wieczory były długie, roboty nie mieli żadnej. Zima szła sroga i przykre dnie, to ckniło się chodzić spać razem z kurami, gdyż i tak do świtania tyla się jeszcze wyspał i wyleżał, aż boki bolały.

Porozsadzali się, jak mogli, kto na ławach, kto na skrzyniach, którym zaś parobkom Kłębiaki pieńki przynosili ze dwora, a jeszcze miejsca dosyć ostawało w izbie, bo dom był wielki, choć niski, starą modą pobudowany, pono jeszcze przez Kłębowego pradziada, że rachowali mu ze sto pięćdziesiąt roków z okładem; w ziemię też już zapadał, przygarbił się kiej staruch, i strzechami płotów dotykał, aż musieli podporami go wspierać, by się do cna nie zwalił.

Gwar się czynił zwolna, bo cicho jeszcze pogadywały, między sobą tylko, wrzeciona jeno furkotały i dudniły po podłodze, a gdzieniegdzie i kółko warczało, ale niewiele, bo nie dowierzały zbytnio tym nowomodnym wymysłom, woląc prząść po staremu, na przęślicach.

Kłębiaki, a czterech było młodziaków wyrosłych jak sosny i już prawie pod wąsem, skręcali powrósła przy drzwiach, reszta zaś parobków rozwalała się po kątach, kurząc papierosy, szczerząc zęby i prześmiewając się z dziewczynami, że co trochę cała izba się trzęsła od chichotów, a starsze jeszcze rade dokładały swoje, by więcej było do śmiechów i zabawy.

Przyszedł w końcu i wyczekiwany Rocho, a tuż za nim Mateusz.

— Byli już z niedźwiedziem? — zagadnął Rocho...

— Ino ich patrzeć, bo są u organistów.

— Które to chodzą?

— A dyć te wisielaki Gulbasowe i Filipki chłopaki!

— Idą już — idą! zaczęły wołać dziewczyny, bo się rozległ przed domem długi ryk, a po nim głosy różnych zwierząt zaczęły się rozlegać w sieni, bo kogut piał, owce beczały, koń rżał, a przewodził im ktosik na piszczałce; wreszcie drzwi się otwarły i przodem wlazł chłopak, przyodziany w kożuch do góry wełną, przysmolony na gembie, że jak cygan się widział, a ciągnął za sobą na długim powróśle onego niedźwiedzia, przybranego całkiem w grochowiny, z kożuszanym łbem, z ruchającymi się uszami z papieru i z ozorem czerwonym, może na łokieć wywalonym; do rąk zaś miał przywiązane kije, okręcone w grochowiny i wrażone w trepy, że chodził niby na czworakach, a za nim szedł tuż drugi wodziciel, ze słomianą pytą i kijem, ostrymi kołkami najeżonym, na których tkwiły kawałki słoniny, to chleby, to jakieś pękate torbeczki wisiały, a dopiero za nimi Michał od organisty, na piszczałce przygrywający, i cała hurma chłopaków z kijami, bijąc nimi w podłogę i pokrzykując z całej mocy.

Niedźwiednik pochwalił Boga, zapiał potem kiej kokot, zabeczał jak baran, zarżał niby ogier i zaczął wykrzykiwać.

— Niedźwiedniki my, z kraju dalekiego, zza morza szerokiego, lasu wielgachnego, gdzie ludzie do góry nogami chodzą, gdzie płoty kiełbasami grodzą, a ogniem się chłodzą; gdzie garnki do słońca przystawiają, świnie po wodach pływają i deszcze gorzałką padają. Niedźwiedzia my srogiego wodzim i po świecie chodzim! Powiedzieli nam ludzie, że w tej wsi są gospodarze bogacze, gospodynie użyczliwe, a dzieuchy piękne. Tośmy przyszli z kraju dalekiego, zza dunaju szerokiego, by nas opatrzyli, grzecznie przyjęli i na drogę co dali. Amen.

— Pokażcie, co umiecie, a może się la was znajdzie co w komorze — rzekł Kłąb.

— Pokażemy wraz! Hej! graj piszczało! tańcuj Misiu, tańcuj! — zakrzyczał, kropiąc go kijem, a na to piszczałka wrzasnęła przebieraną nutę, chłopaki rypnęli kijami w podłogę i nuż przykrzykiwać; wodziciel udawał różne głosy, a niedźwiadek jął skakać na czworakach, ruchał uszami, kłapał ozorem, wierzgał, za dzieuchami gonił, a wodziciel niby go powstrzymywał a pytą wokół prał, co wlazło, i krzykał:

— Nie znalazłaś se mężyny, naści, babo, grochowiny!

Krzyk się podniósł w izbie, wrzaski, rwetes, bieganina, przegony, piski,

a taka uciecha zapanowała, aż się za boki brali, niedźwiedź zaś wciąż baraszkował, figle stroił, przewalał się na ziem, ryczał, uciesznie skakał, to dziewczyny brał wpół tymi drewnianymi kulasami i wciągał w tan, do taktu Michałowej piszczałki, a rzekome niedźwiedniki wraz z chłopakami tak dokazywali, że dziw się chałupa nie rozwaliła od tych wrzasków, gonów i śmiechów.

Opatrzyła ich suto Kłębowa, że wreszcie się wynieśli, ale długo jeszcze słychać było na drodze wrzaski i naszczekiwania psów...

... Usadzili się znowu na dawne miejsca i pogwarzali wesoło, dziewczyny zaś z Józką na czele, jako najśmielszą, nacisnęły Rocha pod kominem i nuż go molestować, i milić się przed nim, by opowiedział jaką historię, jak to u Borynów na jesieni... Przysunęli mu stołek pod lampę, rozstąpili się nieco, że usiadł w pośrodku, kiej ten stary, siwy dąb na polanie, otoczony półkolem zwartych, pochylonych krzy, i zaczął prawić zwolna i nie głośno.

Cichość ogarnęła izbę, że jeno wrzeciona warkotały, a czasem ogień trzasnął na kominie albo czyjeś westchnienie zaszemrało, a Rocho opowiadał cudeńka różne i historie o królach, o wojnach srogich, o górach, gdzie śpi wojsko zaklęte, czekając jeno zatrąbienia, by się zbudzić i paść na nieprzyjacioły, i pobić, i ziemię ze złego oczyścić... o krajach, gdzie ludzie kiej drzewa, gdzie mocarze, co górami rzucają, gdzie skarby nieprzebrane, przez smoki one piekielne strzeżone, gdzie ptaki-żary, gdzie Madeje, gdzie kije samobije, a one Lele-Polele, a one Południce, upiory, strachy, czary, dziwości! — a drugie jeszcze insze a cudne i wprost nie do wiary, że wrzeciona z rąk leciały, a dusze się niesły w zaczarowane światy, oczy gorzały, łzy ciekły z nieopowiedzianej lubości, i serca dziw nie wyskoczyły z piersi z utęsknienia i podziwu.

Długie a głębokie milczenie padło na wszystkich; każden rozważał słyszane i każden pełen był świętej cichości, podziwu, dobrotliwości i lęku... A potem zaś zwolna poczęli pogadywać o tym i owym, jak zwyczajnie.

Młódź zaczęła między sobą się prześmiewać, bo Tereska żołnierka zadawała parobkom zagadki ucieszne...

„Przez ciała, przez duszy, a pod pierzyną się ruszy?"
Co to jest?

— Chleb, chleb, każdy wie! — wołali, skupiając się koło niej.

— Albo to: „Gonią się goście po lipowym moście".

— Przetak i groch.

— Każde dziecko o takich zagadkach wie.

— To mówcie drugie, mądrzejsze!

„W koszuli się na świat rodzi, a po świecie nago chodzi".

Długo zgadywali, aż dopiero Mateusz powiedział, że to ser, i sam zadał taką zagadkę:

„Lipowe drzewo wesoło śpiwa, a koń na baranie ogonem kiwa".

Z trudem się domyślili, iż to ma znaczyć skrzypce.

Tereska zaś powiedziała jeszcze trudniejszą:

„Bez nóg, bez rąk, bez głowy i brzucha, a kaj się obróci, wszędy se dmucha!"

Wiater to miało znaczyć; zaczęli się o to swarzyć, prześmiewać i coraz ucieszniejsze zagadki powiadać, aż się izba roztrzęsła gwarem i wesołością.

Wł. St. REYMONT



MYŚLISTWO W DAWNEJ POLSCE

Mnóstwo wzmianek o zapalonych myśliwych i o myślistwie, jakie odnajdujemy na kartach naszego piśmiennictwa, świadczą o tym, jak ulubioną rozrywką w Polsce były łowy. Polował od dziecinnych lat Krzywousty, o czym mówią kroniki Gallusa i Długosza. Tenże Długosz opowiada, że łowy były przyczyną śmierci Kazimierza Wielkiego, że Jagiełło dla polowania nieraz o poważnych sprawach państwowych zapominał, a Kazimierz Jagiellończyk umiał polować zimą podczas najcięższych chłodów, gdy ludziom odmrażały się uszy i nosy. Myślistwem parał się i „ostani król, co nosił kołpak Witoldowy", i Batory, którego równie jak i Kazimierza Wielkiego łowy o śmierć przyprawiły.

Umiejętność łowiecka dostarczała nie tylko miłej rozrywki, jak o tym poucza nas Rej w swym *Żywocie człowieka poczciwego*, gdy się przepióreczkę ugoni, zajączka poszczuje, gdy się ubije sarnę lub wilka

nakryje siecią. Ona stanowiła poniekąd obowiązek każdego rycerskiego człeka. Dlatego to Górnicki każe swemu Dworzaninowi znać myśliwskie rzemiosło. Dlatego też nie brakło u nas dzieł specjalnych, które nabycie tej znajomości ułatwiać miały.

Myśliwiec, wydany w końcu XVI w., wierszowany utwór Bielawskiego, podaje w dość zresztą nieudolnych rymach wskazówki co do różnych „obrotów" myśliwego.

Musić każdy w tej nizinie
Czuwać o swojej zwierzynie.
Nikomu w garść ptak nie skoczy,
Leci precz, gdy go człek zoczy.

Mać świat, bracie, wiele bydła,
A na każde trzeba sidła,
Zabić wilka — piękna sztuka,
Lecz ten ubieży nieuka.

— — — — — — — —

Nie sadź się na swe rozumy:
Mało znajdą takie dumy.
Ucz się czytając me rymy,
Chceszli dostawać zwierzyny...

Masz wiedzieć przebieg niedźwiedzi,
Zając, gdzie sarn, jeleń siedzi.
Nie uciekajże przed wieprzem.
Kwaśnojuchy dobry z pieprzem.

Należy też umieć zażyć i łosia, i żubra, i tura, ba, autor pofolgowawszy fantazji twierdzi, że i o smoka i o salamandrę w ogniu warto się pokusić. Najważniejszą jednak rzeczą jest, by myśliwy nie powracał z wyprawy z pustymi rękami, gdyż torba, napełniona zwierzyną, zawsze i wszędzie zapewnia dobre przyjęcie.

Nie rymami ale prozą poucza nas Ostroróg w pierwszych latach XVII w., jakie ma być *Myślistwo z ogary*. Wreszcie Cygański, współczesny Bielawskiemu, w swym *Myślistwie ptaszym* udziela wskazówek, jak polować na ptaki i jak układać do łowów orły, sokoły, krogulce i jastrzębie.

Zależnie od zwierzyny i od sposobów zdobywania jej, rozróżniano w Polsce rozmaite gatunki łowów.

Otaczano las siecią, ściągając ją coraz krócej. W ten sposób, opowiada Bielawski, lubił polować król Batory, co

...Siecią trzeciomilną
Otoczywszy, zwierzynę bierał nieomylną,
Tak pomału sieć onę zaraz ukracano,
Zwierza siecią stuliwszy, co król kazał, brano.

Z rusznicą wyprawiano się na żubry, tury, łosie, sarny i jelenie, wypłoszone poprzednio z ukrycia lesistego przez psy myśliwskie. Broń palna służyła i na niedźwiedzia, którego nieraz wypadało dobijać oszczepem, godząc w serce i jeszcze toporem w ostatecznej chwili sobie często pomagając. Dzik, choć kulą trafiony, bywał częstokroć bardzo groźny, gdyż podrażniony strzałem, wpadał pędem na myśliwego. Wtedy uskoczenie mu z drogi na pierwszy lepszy pieniek było zwykłym ratunkiem, zanim powtórny strzał nie zabił rozjuszonego zwierza. Gdy jednak na tę chwilową ucieczkę czasu nie stało, jedynie silny, przytomnie zadany cios kordelasem wybawiał myśliwego od śmierci.

W zimie, gdy wielkie gromady wilków włóczyły się po okolicy, szkody we wsiach czyniące, polowano na nie z prosięciem, którego kwik zwabiał drapieżne i zgłodniałe zwierzęta. Wtedy myśliwi, jadący gromadnie na wiejskich saniach, zaprzężonych w dobre konie, razili napastników gęstymi strzałami. Czasem jednak, gdy stada wilków były zbyt liczne, gdy konie, spłoszywszy się, wywróciły sanki, tragicznym zgonem wszystkich uczestników kończyły się te łowy.

Wyjazd na polowanie stawał się pewnego rodzaju uroczystością. Wyprawą kierował najdoświadczeńszy z myśliwych. Ruszano zwykle o pierwszym bszasku, wśród wesołego gwaru. Jeśli pora była po temu, niesiono na ręku zakapturzone, dziwnie ustrojone sokoły i jastrzębie. Prowadzono na sforach psy, zwołane uprzednio umiejętnym trąbieniem, a gdy zabrzmiały wesołe nawoływania: — Ho do la sa, la la, nuże do la sa — wtenczas bór cały wiedział, jakich będzie miał gości.

Dobry, dobrze ułożony pies był niesłychanie ważną pomocą w polowaniu. Dlatego to Ostroróg we wspomnianym powyżej dziełku twierdzi, iż, „myśliwiec jest jakoby hetman, wódz i sprawca psi, który nimi rządzić ma i sprawować je, używając ich rozrywki i zmysłu, i mocy do słusznego szukania, prędkiego znalezienia — i ugonienia zwierzęcia. Czemu aby dosyć czynił, trzeba, aby go psi słuchali, a to będzie, kiedy go będą miłować i wierzyć mu. Żeby go tedy miłowali, ma się doma między niemi bawić, głaskać, karmić nie tylko u koryta, ale i z wacka (z worka) czemkolwiek na potkaniu, co najczęściej ma się z niemi pieścić, rozmaicie igrać z niemi...“

Specjalnym kunsztem było trąbienie na psy. Gdy je myśliwy zwoływał, by na sforę przed łowami ująć, wtedy trąbił z przewłoką, to jest pełnym tonem, dodymając, co najdłużej. Psy, zwoływane tym odgłosem zwykle do jedzenia, gromadziły się chętnie. Podczas gonitwy za zwierzem grzmiała trąbka krótko i stawała co cztery takty. Wreszcie po szczęśliwie odbytych łowach, jak pisze Al. Maciejowski w dziele *Polska* i *Ruś* „chełpiący się ze zwycięstwa strzelec, na psy wołając: — Herab, herab! — powolnym trąbieniem dawał znak rozjuszonej zgrai, że już może odpocząć sobie i zwątlone pokrzepić siły“.

Najbardziej używane nazwy psów bywały: Zagraj, Dyszkant, Kantor, Grzmilas, Cymbał, Tenor, Urwis, Zagrzyż, Szumlas, Hałas, Ucichł, Dzwonek, Słowik, Trębacz, Przełaj, Zadaj, Kasztan.

Samicom dawano imiona: Duda, Skrzypka, Lutnia, Płaksa, Lotka, Sarna, Chwytka, Cytra. Wśród chartów najpospolitsze, najczęstsze imiona bywały: Dolot, Capaj, Doskocz, Chwytaj, Połóż, Sokół, Strzałak, Zoczna, Szpilka, Sława.

Myśliwi miewali i mają zabobony. W niedzielę lub święta nie należy wychodzić na polowanie, bo się nie poszczęści. Na osadę strzelby

drzewo tak ściąć trzeba, by od razu, bez oparcia się, na ziemię padło. Ścięcie to ma się odbywać przed zachodem słońca. W takiej osadzie fuzja za każdym razem jest pewna. Spotkanie baby nieszczęsne łowy rokuje i jedynym na to ratunkiem — prosić ją, by życzyła pomyślnej zabawy.

Na ogół jednak myśliwy winien wystrzegać się życzeń dobrych łowów, bo one działają wręcz przeciwnie. Pantofel lub trzewik zniszczony, znaleziony na drodze — jest niepomyślną wróżbą. Niedobrze też, gdy się przed łowami śni myśliwemu, że poluje na karym koniu w towarzystwie czarnych psów gończych.

Natomiast spotkanie dzieci, młodych dziewcząt lub też praczek, piorących bieliznę nad potokiem, przynosi szczęście.

Maria DYNOWSKA



LEGENDA MURZYŃSKA

Kochana Druhno i Kochany Druhu! Rozłóżcie przed soba mapę Afryki i przypatrzcie się, jakie kraje, pustynie, rzeki i jeziora, puszcze i góry ją pokrywają. Spróbujcie zrobić po Afryce podróż, jeżdżąc po niej palcem.

Cały olbrzymi teren Czarnego Lądu zamieszkują przeważnie murzyni, dlatego Afrykę nazywamy Czarnym Lądem. Kiedyś mieli oni własne państwa, rządzili nimi miejscowi królowie, mieli własne prawa, własne wierzenia. Teraz to wszystko zmieniło się. Ale pamięć o starych czasach jest jeszcze żywa i wśród nich krążą liczne legendy. Jedną taką legendę, którą, usłyszałem od druhny Barskiej, mieszkającej na farmie koło Salisbury, (poszukajcie na mapie) dzisiaj Wam opowiem.

— Przed wielu laty na Wysokim Planalcie żył potężny Soba Czipala, król dziedziczny państwa tak wielkiego, że trzeba było tygodni, by głos tam-tamu nadwornego czymbandy dotarł poprzez puszczę dziewiczą i stepy do krańców królestwa. Sławny to był Soba. U żadnego z królów Czarnego Lądu nie było tak pięknych i licznych tancerek przy witaniu pełni wiosennego księżyca, jak u Czipali. Wprawdzie królowa Zeuzina miała też setki niewolników i służbę tak liczną, że czy to na batuce (tańce), czy innej uroczystości nigdy nie siadała dwa razy na tym samym niewolniku, jednak Czipala był potężniejszy! Bydła miał tak dużo po wszystkich kimbach (wioska murzyńska), że prędzej Andombe (pan słońca) przeciągnie przez niebo trzy razy tarczą słoneczną, niż można by doliczyć się połowy. A na polowaniach to już nie było mu równych! I właśnie to go zgubiło.

Pewnego razu, kiedy topór za pas zasadzał i brał do ręki swe oszczepy, przyszedł do niego czymbanda, prosząc go, by nie chodził na łowy, gdyż w nocy rozmawiał z duchami, które powiedziały, że dzień dzisiejszy jest zły. Nie usłuchał Czipala rad czarodzieja i poszedł w puszczę ze swą drużyną. Nic jednak spotkać nie mógł, mimo że przebiegał znane sobie miejsca, gdzie od lat zwykł polować, i że tym razem ministrowie jego wysłali większą ilość tropicieli i naganiaczy. Już dwa dni błąkał się Czipala po puszczy, kiedy nagle na polanie natknął się na stado pu-mu-mu.

Porwał za łuk Czipala i, nim nadbiegający łowczy mógł przeszkodzić, wypuścił strzałę w piersi prowodyra. Zakolebał się potężny ptak, opuścił bezwładnie skrzydła i, wydając z przeszytych piersi siedmiokrotny jęk, padł na ziemię. Zasmucili się ministrowie na widok śmierci ptaka, gdyż wiadomym było każdemu, że nieszczęście zawisło nad

ludem. Za siedem dni, albo siedem tygodni lub za siedem miesięcy — duch świętego ptaka ukaże się!

Przeznaczenie jest bezlitosne. Po siedmiu dniach zaczęły dochodzić wiadomości z kimb, że bydło potężnego Czipali zdycha. W siódmym tygodniu zaczęły umierać jego najmilsze dzieci. Wreszcie w siódmym miesiącu zmarła niedawno zaślubiona, najukochańsza żona jego, Moreja.

Zrozumiał Czipala, że przez lekkomyślny swój czyn ściagnął na siebie gniew duchów. I kiedy przy dźwiękach pogrzebowych tam-tamów i tańcu żałobnym tancerek chowali drogą sercu jego Moreję, w obawie, by duchy nie mściły się i na poddanych jego, silnym ciosem katany (szeroki nóż) pozbawił się życia.

Rzucili się ministrowie i dworzanie ratować króla — niestety, ratunku już nie było. Kir wiecznej nocy zbliżał się nieubłaganie. Na moment jeszcze otwarły się oczy Czipali. Spojrzał na rozpaczą ścięte twarze swego ludu i zbielałymi usty wyszeptał ledwo dosłyszalne słowa — słowa, które pozostały jako testament w szczepie Czipali: „Czipepa czipła, cziwala czirimba“ — co znaczy „szczęście przemija, ból się zapomina“.

Józef BRZEZIŃSKI, hm.

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE ZIMOWE

Na Nowy Rok przybyło dnia na zajęczy skok.
Królowie pod szopę, dnia na kurzą stopę.
Święta Agnieszka wypuściła skowronka z mieszka.
Na nawrócenie świętego Pawła, połowa zimy przepadła.
Spyta luty — Maszli buty?
Na święto gromnicy napije się bydło na ulicy.
Święta Weronika, słonko pomyka.
Sól świętej Agaty broni z ognia chaty.
O świętej Dorocie wyschną chusty na płocie.
Na świętego Macieja, pierwsza wiosny nadzieja.
Święty Piotr gdy się rozgrzeje, wiosna prędko nie przyśpieje.



4

WODZOWIE RADZĄ

PRÓBA CHARAKTERU

LUSAKA. Wychodząc z chatki Pstrąg starannie układa na swoim stole kilka kartek. Każdą z nich zdobi wielki, kolorowy znak zapytania. Widząc mój zdziwiony wzrok Wódz uśmiecha się tajemniczo i mimo, że już nikogo oprócz nas w chatce nie ma, mówi najgłębszym szeptem:

„Pst... Próba Wodzów". — Serce zabiło mi radośnie.

To musi być coś cudnego — myślę sobie. Ach, jak świetnie, że dzisiaj już to będzie, za półtorej — dwie godziny!

Korzystając z tego, że mnie nikt nie widzi, (jest ciemno, idę na końcu) podskakuję od czasu do czasu. Wprawdzie moja toga upięta kunsztownie z koca i ... 19 lat trochę przeszkadzają, ale czego się nie robi, jak się jest naprawdę, ale tak na 100 % zadowolonym? A zresztą czuję się w tej chwili, nie jak kandydatka na wodza, ale jak mały zuch, który wie, że Wódz szykuje mu jakąś wielką niespodziankę. Jestem tak przejęta, że całe wieczorne ognisko upływa, jakby we śnie. Przytomnieję dopiero, gdy słyszę, jak Wódz mówi.

„Do dha Zdzicha w stołówce 7 sekcji zgłoszą się druhny i druhowie... (następuje kilka nazwisk).

Mego nazwiska nie ma między wywołanymi. To nic, pocieszam się — niewszyscy uczestnicy kursu mają dziś próbę. Jutro przyjdzie na mnie kolej.

Wracam z ogniska ze spuszczoną głową i tak wielkim, wielkim smutkiem w duszy...

Już nazwiska wszystkich uczestników kursu zostały wymienione. Nawet mała Michalinka została wezwana do stołówki na 7 sekcji, a mojego nazwiska tam brakło. Czy dlatego, że przez rok bez żadnego przygotowania prowadziłam gromadę. Pstrąg nie uważa mnie za uczestniczkę kursu i kandydatkę na „Wodza"? A może chce mnie dać tytuł wodza bez żadnej próby?

Nie, doprawdy gdyby nie to, że jestem jeszcze trochę rozmarzona ogniskiem — wygarnęłabym wszystko Pstrągowi! Jest mi tak przykro, tak starsznie przykro że, siedząc w chatce i opisując w pamiętniku dzień dzisiejszy, nie mogę wydobyć z pod pióra nazwy Wódz. Piszę Pstrąg albo dh Zenek. Wiem, że to jest śmieszne, dziecinne, ale trudno... Jestem tak przygnębiona, że częściej siedzę z opuszczonym piórem, niż piszę...

Nagle: stuk — puk!

Do chatki wchodzi drużynowy Zdzich ze słowami: „No, już wszystkie swoje odprawiłem!"

Nareszcie przyszła dobra dusza, równa mnie — wzdycham z ulgą — będę miała komu wygadać!

Wprawdzie dh Zdzich był Bogu ducha winien, ale zawsze bezpieczniej wygarnąć równemu sobie (wyższej władzy czasem strasznie). Nie śpieszę się jednak, bo dh Zdzich nie ucieknie. Przez chwilę rozmawiamy o rzeczach zupełnie obojętnych, lecz w pewnej chwili orientuję się, że dh Zdziś „enfant terrible" robi przy każdym zdaniu takie miny, jakby za chwilę miał parsknąć śmiechem. Jedno z dwojga: albo ma coś do powiedzenia, albo przyniósł za pazuchą jakąś żabę, jaszczurkę, mysz, lub inne przyjemne stworzonko i ma nadzieję (zupełnie nieuzasadnioną), że uda mu się nas przestraszyć. W każdym razie nie bez interesu tu przyszedł!

Prosta droga jest najlepsza! — Po co Druh przybywa — pytam się, zachowując możliwie jak największą powagę.

W odpowiedzi na to, uśmiech i dwie koperty wyjeżdżają z kieszeni wojskowego płaszcza. Jedna dla mnie, druga dla siostry. Na środku czernią się słowa napisane ręką Wodza: „Otworzyć natychmiast. Tajemnica".

Nie wywołuje to na mnie żadnego wrażenia. Za bardzo byłam przygnębiona przed chwilą, żeby tak prędko otrząsnąć się i zainteresować zawartością. Przecinając bez przekonania brzeg koperty, słyszę jak siostra czyta z namaszczeniem po raz drugi swój napis na kopercie. Ma termin 10 minut późniejszy.

Na ciemny stół wysypuję kilkanaście kawałków pociętej kartki. To dla mnie fraszka! Niedawno każdy zastęp, od chwili mego przybycia, zawsze mi wręczał do składania wszystkie podarte listy z poleceniami. Widać, że opłaca się czasem być ofiarą zastępu. Nim siostra skończyła swe lamenty, że musi tak długo czekać, przede mną widnieje już napis:

„Idź do chatki Wodza, nie zapalając światła, odszukaj list. Weź jeden i rób, co tam jest napisane. Uważaj, by Cię nikt nie widział. Czuj! Pstrąg.

Nakładam pas i tak jak stoję wychodzę. Na dworze jest bardzo ciemno, nie ma gwiazd, ale droga do chatki Wodza jest prosta, więc idę szybko i pewnie. Dochodząc do chatki odruchowo sprawdzam stan swego umundurowania: nie wiadomo kogo, albo co mogę tam zastać.

Drzwi są otwarte. Wchodzę do środka i pierwsze kroki kieruję do stołu. Nic nie ma. Na łóżku straszliwy bałagan, ale kartki też nie ma. Wracam na próg chatki i po sprawdzeniu, że na ramie, ani podłodze nie zaczyna się żaden ślad, przeciągam ręką po drzwiach. Palce natrafiają na nóż... nawet dwa noże są wbite w drzewo. Wyciągam jeden z nich i jestem w posiadaniu małej kartki.

Ponieważ nie wolno zapalać światła w chatce, więc po odłożeniu noża na łóżko Wodza odchodzę parę kroków i zasłonięta ścianą innej chatki czytam list: „Idź na miejsce ogniska, omijając drogi tak, aby Cię nikt nie zauważył. Czuj! Pstrąg.

Czuję, jak skóra na twarzy naciąga mi się: Nie dojdę! Przecież ja o pięć kroków nic nie widzę!

Po chwili jednak oczy oślepione światłem zapałki przyzwyczajają się do ciemności i jednocześnie zdaję sobie sprawę, że przecież ja, tchórz zawodowy, który w nocy tylko w pełnię odważa się z chatki wychodzić, przeszłam już taki kawał po ciemku i teraz stoję w ciemności, a jednak zupełnie się nie boję. To dobrze. Dojdę, muszę dojść! — postanawiam. Coby powiedział Wódz, gdybym nie doszła?!

Chowam list jak talizman i idę w długą żmudną wędrówkę. Jak długo szłam, ile razy zawracałam z błędnej drogi — nie umiem powiedzieć. Wiem tylko, że szłam bardzo okrężną drogą, zawracałam, kluczyłam, szukałam jakiegoś drzewka, krzaczka, żeby mi wskazał właściwą drogę, a przez cały czas w głowie mi huczała jedna myśl: Muszę dojść! Muszę!

Wreszcie zdałam sobie sprawę, że zupełnie straciłam kierunek. Nie wiedziałam nawet, w której stronie jest obóz. Ogarnęło mnie straszne zniechęcenie. Taka straszna jestem niezdara, że nie umiem dojść po ciemku do wskazanego punktu! Z rozpaczą spojrzałem na niebo: może chociaż dojrzę krzyż południa, może kawałek skorpiona... Chmury na niebie przerzedziły się trochę, nawet tu i tam widać gwiazdę, ale samotną, pojedyńczą. Nie sposób zorientować się w kierunku... Ale nie! Mam, mam! Przecież ta plama na tle nieba, to korona drzewa stojącego na drodze do „Dewajty“ Przechodząc co dzień koło niego doskonale zapamiętałam sobie jego kształt. O dziesięć kroków stąd musi być ścieżynka w bush'u, prowadząca wprost do miejsca ogniska. Jest. Bieli się bardzo wyraźnie wśród szarej płaszczyzny traw. Teraz się już nie zgubię. Zaczynam iść szybko po ścieżynce, ale czuję straszne zmęczenie, więc idę coraz wolniej, coraz spokojniej. Już widzę kontur „Dewajtisa“... Ścieżynka kończy się... Dokoła „Dewajtisa“ jest ciemno. W miejscu, gdzie płonie zwykle wesołe ognisko, wśród szarego popiołu, żarzy się tajemniczo czerwony węgielek. Zupełnie mimo woli przychodzą mi do głowy pierwsze słowa piosenki: „Na Wojtusia z popielnika“... Próbuję się uśmiechnąć, ale usta mam zbyt mocno zwarte, mięśnie twarzy zbyt ściągnięte, aby to uczynić. Zresztą, zaraz myśl zwraca się w innym kierunku. Wiem, że teren dokoła nie jest zupełnie równy i leżą gałęzie, o które łatwo zaczepić, więc idę bardzo wolno. W danej chwili jednak jeszcze bardziej absorbuje mnie fakt, że w kręgu nikogo nie widzę. Mimo, że wysilam wzrok jak tylko mogę — przed moimi oczami panuje jednostajna ciemność. Niezrażona tym — posuwam się w kierunku mojego siedziska. Nagle o trzy kroki ode mnie odzywa się cichy, niski głos: „Siądź w kręgu na miejscu, na którym zwykle siadasz“. — To głos Wodza.

Normalnie, głos w ciemności przestraszyłby mnie, ale w tej chwili tak ufam, że koło „Dewajty“ nie może mi się stać nic złego, zwłaszcza podczas próby wodzów, że nie czuję żadnego lęku. Przeciwnie, głos Wodza napełnia mnie jeszcze większym spokojem, zupełnie obojętnie stwierdzam fakt, że jednak widzę o wiele gorzej niż myślałam. W milczeniu siadam na swoim miejscu. Przez chwilę panuje zupełna cisza, a potem Wódz zaczyna mówić. Chociaż w tej chwili nie myślę o tym, ale wiem, czuję podświadomie, że ta chwila jest bardzo ważna dla

mnie, choćby nawet Wódz powiedział mi, same znane, wiadome rzeczy. Skupiam się więc cała w sobie i nieruchoma wsłuchuję się w słowa i zdania, które biegną do mnie, jakby gdzieś z oddali...

Próba wodzów, to próba charakteru, w której każdy jest sam sobie sędzią... Zastanów się, czyś dobrze wykonała zadanie dzisiejszej próby... czy jesteś zadowolona z tego coś wykonała?...

Pstrąg mówi o obowiązkach wodza... o hymnie wodzów... o pracy dla Polski...

Czerwony, tkwiący w popiele węgielek żarzy się... Cichy, niski głos Wodza potęguje nastrój...

„A teraz na dowód żeś była pod „Dewajtą" podpiszesz się tutaj".

Na białą kartkę papieru pada stożek światła z elektrycznej latarki. Mimo, że Pstrąg mówi już głośniej — nastrój jeszcze nie prysł. Jak we śnie biorę podaną mi obsadkę i piszę swe nazwisko. Jakże chętnie pozostałabym tu dłużej, ale głos Wodza nakazuje coś innego: „Wróć teraz do chatki, opisz w dzienniczku dzisiejszy wieczór. Możesz wracać drogą. W czasie powrotu myśl o tym, coś tu usłyszała. Tajemnica obowiązuje do jutra, do godziny 11 rano".

Wstaję. Chcę powiedzieć: CZUJ, WODZU, ale nawet ustami poruszyć nie mogę. Odchodzę więc bez słowa.

Na niebie bieli się mleczna droga, świeci krzyż południa i gwiazdy wesoło mrugają.

Czemu ich przedtem nie było?

Barbara CHMIELEWSKA



Odprawa drużynowych i wodzów zuchowych w Lusaka



Kurs drużynowych w Rusape

MYŚLĘ O LISTACH

Wyjechałem z Afryki. Potem wiele podróżowałem. Koleją, statkiem, samochodem. Chodziły za mną listy. I spotykałem w różnych okolicach świata listy od przyjaciół, których zostawiłem na Czarnym Lądzie.

Myślałem — będzie kłopot... Jak ja im wszystkim odpiszę? Bo i czasu mam teraz niewiele a roboty huk. I tak trudno — z podróży. Żeby napisać, trzeba się zastanowić, namyśleć. Bo listy są często ciekawe, ważne i o różnych mądrych rzeczach.

Kiedy przejeżdżałem przez Jerozolimę, przyszedł mi taki pomysł: napiszę do gazety — dla wszystkich. Może każdy znajdzie coś dla siebie. I potem znowu odpiszą o swoich sprawach. Tak będzie najlepiej.

Jeszcze w Afryce otrzymałem jeden ciekawy list. Nie przyszedł przez pocztę i był bez koperty. A było to tak:

— Przyjechałem do osiedla, w którym byłem pierwszy raz. Zapoznałem się w szkole z dziewczętami i chłopcami. Rozmawialiśmy o różnych sprawach. I powiedziałem, że jeżeli ktoś chce jeszcze o co zapytać, chętnie mu zawsze odpowiem. Na trzeci dzień przyszedł do mnie jeden chłopiec. Opowiadał o różnych swoich sprawach. Potem mówiliśmy o planach na przyszłość. W pewnej chwili przyszło mi na myśl dowiedzieć się, jaki ten chłopiec ma charakter pisma. Powiedziałem: — Napisz coś.

Chłopiec usiadł przy stole, ale się zaczął wstydzić. — Nie wiem co napisać. — Napisz co chcesz.

Wtedy wziął pióro i zaraz napisał: „Ja chcę, żeby Pan został w naszym osiedlu".

To był właśnie list do mnie. Musiałem na to odpowiedzieć. Spytałem jeszcze: — Po co?

— Bo jak Pan pojedzie, nie będzie z kim rozmawiać o ważnych rzeczach. I pewno nie uda mi się być lepszym.

Zmartwiłem się. Chłopiec miał trochę racji. Zawsze lepiej się udaje pracować nad sobą, kiedy ktoś pomoże. Niedawno inny chłopiec tak napisał:

— I teraz postanowiłem najpierw wyrobić silną wolę, a potem charakter. Przy wyrobieniu mego charakteru będzie mi bardzo trudno, ale myślę, że silna wola i pomoc mych kolegów, o co ich bardzo prosiłem, pomogą wszystko zrobić.

Ale ten drugi list napisał już starszy chłopiec, który potrafi lepiej dać sobie radę. A ten pierwszy był mały, czternastoletni. Musiałem mu więc odpowiedzieć. I postarałem się wytłumaczyć jedną bardzo ważną rzecz.

Powiedziałem, że wszyscy ludzie starają się być lepsi, coś zdziałać, coś zrobić najwięcej dla dwóch powodów: albo, że kogoś lubią, albo, że kochają jakiś ważny i wielki cel. Taki cel nazywa się „idea". Wiele dziewczynek chętniej się uczy lekcji i lepiej się zachowuje wobec nauczycielki, która jest dobra, którą kochają. Chłopcy chętniej

coś zrobią dla dobrego, miłego kolegi, niż dla takiego, który „mądrzy się“ i udaje ważnego. Przyjemniej i łatwiej dobrze się sprawować, jeżeli nauczyciel albo drużynowy to zauważy, pochwali i jeszcze poradzi, jak być coraz lepszym, — niż wtedy, jeżeli nikt nie zwraca uwagi.

Ale to bardzo źle, jeżeli ktoś stara się być dobrym tylko dlatego, żeby go pochwalili albo dlatego, że kogoś lubi. Bo czasem bywa tak:

Jedna dziewczynka powiedziała: — Nie chcę się zapisać do Sodalicji, bo nie lubię księdza.

A inna: — Wypisałam się z Harcerstwa, bo hufcowa, którą bardzo lubiliśmy, wyjechała.

Wtedy właśnie przychodzi na myśl bardzo ważne pytanie: — Czy taka dziewczynka albo chłopiec pracowali nad sobą i dla drugich tylko dla swoich ulubionych kierowników, czy dlatego, że kochali i chcieli służyć jakiemuś wielkiemu celowi, jakim jest najprzykład służba Bogu i Polsce.

Bo ta druga służba jest dopiero ważna. I często służy się jakiejś idei nawet wtedy, kiedy człowiek jest zupełnie sam, i nawet wtedy, kiedy wszyscy ludzie dokoła są przeciwko niemu. I właśnie dlatego tylko przez służbę jakiejś wielkiej idei człowiek uczy się być mocny, śmiały, nieustępliwy i dzielny.

Temu chłopcu tak odpowiedziałem:

— Widzisz, mówiliśmy wiele o twoich planach w życiu. Jaki chcesz być. Jaki będziesz. Jak to osiągnąć. I mówiliśmy, co chcesz zrobić dla innych. Jak będziesz prowadzić swój zastęp harcerski i jak pomagać drużynowemu. Rozmawialiśmy ciekawie i przyjemnie, bo i ty i ja jesteśmy w służbie tej samej idei, mamy taki sam cel, żeby w Polsce było lepiej i żeby świat był lepszy. Widziałem, że rozumiesz i kochasz tę ideę. I dlatego ja teraz mogę sobie pojechać. Bo teraz ty właśnie będziesz wciąż o tym myśleć i starać się. I żeby nas było coraz więcej. Ale nawet, gdybyś został sam, tobyś się już nie dał.

Chłopiec słuchał bardzo uważnie. I wtedy opowiedziałem mu jeszcze takie prawdziwe zdarzenie:

— Jeden z naszych sławnych dowódców otrzymał awans na generała dywizji. Wieść szybko rozeszła się po obozie. Po chwili zebrali się wszyscy jego oficerowie, rozradowani miłą wiadomością. Wznosili okrzyki na cześć generała i składali mu życzenia. Generał cieszył się także, ale była to radość głębsza. W pewnej chwili przemówił: powiedział, że awans to zawsze zaszczyt i radość, że to dowód uznania. Ale to uznanie jest nie tylko dla osoby tego, który dostępuje zaszczytu. To jest przede wszystkim świadectwo, że najwyższe władze Polski cenią tę ideę, którą generał reprezentuje, której służy od wielu lat: — ideę wierności i ścisłego związku Ziem Wschodnich z całością Rzeczpospolitej. I dlatego nie cieszy się tylko sam, ale cieszy się, że i to zaszczytne wyróżnienie jest ważnym etapem i dorobkiem w służbie dla Sprawy Polski.

Tak rozumie te sprawy generał i tak powinien rozumieć każdy, nawet mały chłopiec. Wkażdej pracy ma szukać nie własnej radości, nie żeby się komuś podobać, albo sprawić przyjemność komu, kogo

się lubi, — ale musi rozumieć swój najwyższy cel, swoją ideę, dla której żyje.

Często trudno samemu. Tyle przeszkód. Żeby ktoś pomógł. I nie ma. Aż się chce machnąć ręką. Niech tam będzie, co ma być. Nie dam rady i tyle. Za wielkie przeciwności. Co wtedy robić?

Pomyślałem o tym, bo inny znów chłopiec napisał do mnie list, w którym była jedna bardzo mądra myśl w zakończeniu:

„... i życzę, żeby wszystkie trudności stały się przyjemnością".

Zastanowiłem się. Ma rację. To jest cała tajemnica ciekawego i pięknego życia. Zwycięstwo przynosi radość. Nie ma zwycięstwa bez przeszkód. Przeszkody są więc potrzebne, żeby były zwycięstwa, i żeby była radość.

Prawda. Tylko tego przerażają nieszczęścia, który nie umie zwyciężać. Człowiek dzielny często szuka przygód, żeby zakosztować radości zwycięstwa. Tchórz boi się życia i chowa się przed trudnościami. Tymczasem nie trzeba się ich bać, bo przecież można z nich nawet korzystać...

I kiedy tak myślałem o odpowiedzi na ten list, przypomniał mi się nagle wiersz jednego z naszych największych poetów-filozofów, Cypriana Kamila Norwida.

Postanowiłem ten wiersz przepisać.

FATUM

Jak dziki zwierz przyszło nieszczęście do człowieka
I obróciło nań fatalne oczy,
Czeka,
Czy człowiek zboczy.
A on odejrzał mu, jak gdy artysta
Mierzy swojego kształt modelu.
I spostrzegło, że on patrzy, co skorzysta
Na swym nieprzyjacielu.
I zachwiało się całą postaci wagą,
I nie ma go. —

Myślę, że wiele dziewcząt i wielu chłopców z Afryki będzie miało w życiu dużo nieszczęść i trudów. Wszyscy będziemy mieli. Jedni przyjmą je śmiało, pokonają i będą coraz dzielniejsi i mocniejsi. I będą odważni i twardzi. Dużo ich będzie. Inni może się załamią. Nie starczy im mądrej dzielności. Ale wtedy ci pierwsi im pomogą. I nie dadzą zginąć. Tak jak już często bywało i bywa wciąż, że jeden dzielny potrafi wielu od klęski ocalić.

I wtedy dopiero poznają najgłębszy smak życia. Głęboką radość twardego życia wśród przeszkód.

Dr Wiktor SZYRYŃSKI, hm.

O KSIĄŻKACH



ŻOŁNIERZE ŚPIEWAJĄ

— No, chłopcy, pójdziemy dziś do pracowni pana Wojciecha!

Gdy ojciec mówił tak do mnie i do moich braci, nie było większego dla nas święta, radośniejszej chwili. Słowa te bowiem oznaczały, że znowu otworzy się przed nami zaczarowany świat bajki rycerskiej, pełen zbroi, szyszaków, bogatych rynsztunków, nierzadko narzuconych na modele koni naturalnej wielkości, których dosiadanie należało z reguły do nadzwyczajnych przyjemności.

Koledzy zazdrościli nam tych wizyt i po każdej z nich szczegółowo wypytywali, cośmy nowego widzieli u pana Kossaka. Raz była to zbroja husarska, podarunek księcia Czartoryskiego, innym razem skóry lamparcie, przywiezione z dalekich wypraw myśliwskich przez ordynata na Łańcucie, innym znów razem kopia munduru księcia Pepi, pochodząca z Antonińskich zbiorów, w której syn pana Wojciecha, Jerzy, chętnie się pokazywał na balach maskowych pod Baranami.

Dla nas, młodych wówczas chłopców, najbardziej emocjonującą była bliskość obcowania z wszystkimi tymi „cudami", które na co dzień mogliśmy tylko oglądać i to z przyzwoitej odległości, za ogrodzeniami stoisk Krakowskiego Muzeum Narodowego.

Opowiadając kolegom o naszych przeżyciach w pracowni pana Wojciecha, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że przedmioty, na które wtedy patrzyliśmy, którymi bawiliśmy się jak zabawkami dla dorastających dzieci, były współczynnikami sztuki wielkiego artysty, elementami niejednej, wyczarowanej jego pędzlem, epopei oręża polskiego.

Dziś, po tylu latach, sposobność napisania recenzji o zbiorze pieśni żołnierskich przywodzi mi na pamięć jedną z takich wizyt. Było to w początkach lata, pamiętnego roku 1914. Wracaliśmy z ojcem ze spaceru w Oleandrach, gdzie nie mogliśmy się dość napatrzyć ćwiczeniom drużyn strzeleckich Józefa Piłsudskiego. Drogą powrotną przechodziliśmy przez plac Juliusza Kossaka, a że ojciec miał tego dnia wyjątkowo więcej czasu dla nas, wstąpiliśmy do pracowni pana Wojciecha. Zaraz na wstępie uderzył nas widok ogromnego płótna, umieszczonego na sztalugach, na środku atelier. Syn Jerzy kończył właśnie zbieranie pędzli i palet, pokrytych tęczą kolorowych kleksów. Przywitawszy się z nami, zaczął objaśniać temat kompozycji i wymienił jej tytuł, który brzmiał: „Noch ist Polen nicht verloren". Nie pomnę dziś, czy oglądałem wówczas oryginał, czy też kopię obrazu, wykonanego na zamówienie Wilhelma II do zbiorów jego zamku w Poznaniu. Ale to nie jest ważne. Obraz przedstawiał pułki poznańskie armii Blüchera, idące do ataku w takt Mazurka Dąbrowskiego, granego przez umieszczoną na pierwszym planie orkiestrę grenadierów pruskich. Wrażenie, jakie obraz sprawiał jako kompozycja malarska, było silne. Lecz silniejszą była ironia artysty, bijąca z treści obrazu, z połączenia elementu polskiej muzyki narodowej z pikielhaubami bismarkowskich muzykantów. Pan Wojciech, który tymczasem wyszedł do nas, w te odezwał się słowa:

— Chodziło mi o przedstawienie perfidii niemieckiej, a na jej tle tragedii poznańskiego chłopa. Wątpię jednak, czy cesarz zrozumie, co miałem na myśli.

Prawdopodobnie Wilhelm II jednak nie pojął intencji wielkiego malarza, skoro kazał obraz umieścić w galerii poznańskiego zamku, skąd go wywieziono do Berlina dopiero w dniach klęski cesarstwa. Dla nas, oglądających wówczas co dnia wóz Drzymały pod Barbakanem, ten właśnie obraz Kossaka, który być może powstał pod wpływem sienkiewiczowskiej legendy o Bartku Zwycięzcy, był jeszcze jednym, żywym rozdziałem historii najbardziej umęczonej dzielnicy polskiej.

Dziś, gdy wspomnienia napływają szeroką falą, zdaję sobie sprawę, że widziany wówczas obraz mógłby stanowić najlepszą ilustrację wielkiego wpływu pieśni na psychikę żołnierza — jej doniosłej roli, jaką zawsze odgrywała jako nieodłączna towarzyszka jego doli i niedoli.

Bo czymże pieśń była i jest dla żołnierza, jak nie ukojeniem jego tęsknot za rodziną, domem a często i krajem ojczystym — jak nie zapomnieniem w bólu po stracie wiernego towarzysza broni — krynicą pogody ducha w przezwyciężaniu trudów twardej służby żołnierskiej — wspaniałą podnietą do bohaterskich czynów? Czymże byłby żołnierz, gdyby mu pieśń zabrano? Gdyby nie mógł więcej z pomocą słów jej i melodii radować się i smucić, skarżyć się i chwalić? Myślę, że psychika jego uległaby wówczas zupełnemu załamaniu się, że miałoby to o wiele większy wpływ na niego, niż najgroźniejsze działania bomb i granatów. Rozumieją to dowódcy i każą żołnierzowi śpiewać. Tak więc, pieśń towarzyszy mu w marszu i na postojach. Zagrzewa do bitwy, a po niej do snu kołysze. Nosi ją żołnierz głęboko w sercu — jak relikwię świętą, gdy pieśni tej uczyła go matka, gdy pieśń tę zrodziła ziemia ojczysta. Z nią na ustach szedł w obce kraje i z nią wróci pod ojcowską strzechę!

Na tej dalekiej drodze, pełnej chwały, ale i chwil gorzkich zawodów, w duszy niejednego z szarego tłumu żołnierskiej braci poczęła się pieśń nowa, drgająca od bólu i zwątpienia, częściej przepełniona wiarą i oddaniem Tej, co nie zginęła...

W rytm tej pieśni poszły szeregi nasze z łagrów Północy na piaski Bliskiego Wschodu, z jej melodią na ustach pomaszerował żołnierz polski na historyczny szlak Legionów Dąbrowskiego.

I nadeszła teraz chwila sposobna, by pieśń tę utrwalić, uczyć jej innych, przekazać potomnym. Któż miał to uczynić, jak nie żołnierze? Może nie ci, co sztukę wojowania za zawód przyjęli, ale ci właśnie, co nosząc w duszy umiłowanie dla sztuki muzycznej i znając bogactwo form jej wypowiedzi, przywdziali szary mundur na czas walki o wolność Ojczyzny.

Leży przede mną zbiór pieśni, opracowany właśnie przez takich dwóch artystów-żołnierzy, Adama Dyląga i Wiarosława Sandelewskiego, a wydany pod tytułem „W marszu" przez ruchliwy Oddział Propagandy i Kultury A.P.W. —

Jak wskazuje notatka, zamieszczona na wstępie, tomik „W marszu" jest pierwszą częścią obszerniejszego materiału, którego druga część ma się dopiero ukazać i zawierać będzie pieśni, śpiewane na postojach. Już sam tytuł „W marszu" mówi nam o charakterze tu zgrupowanych melodii i powinien był przesądzić ich dobór. Dlatego do pewnego stopnia niespodzianką jest zamieszczenie w pierwszym rozdziale (Pieśni przedwojenne) takich pieśni, jak Bogurodzica, Boże coś Polskę lub Rota Konopnickiej. Gdy jednak zważymy, że autorom nie zależało na zachowaniu naukowej systematyki i gdy przyjmiemy, że układ pierwszej części zbioru jest raczej literacki, niż naukowy — genetyczny, a nie kwalifikacyjny, wówczas zrozumiemy owe uchybienia w systematyce i zgodzimy się na przyjęcie celowości za podstawę oceny. To, co autorzy chcieli dać żołnierzowi do śpiewania w marszu, wyczerpuje do pewnego stopnia repertuar pieśniowy o tym typie, dostępny nam na obczyźnie, a w rozdziałach, obejmujących twórczość współczesną (Szkocja, Rosja, Śr. Wschód), wykazuje rzadkie bogactwo. Samo opracowanie dwugłosowe, bardzo staranne, może nasunąć pewne wątpliwości w odniesieniu do wierności reprodukcji niektórych fragmentów dawnych melodii. Nie obniża to jednak w niczym wartości zbioru, a może stanowić jeszcze jeden dowód różnorodności wersyj, w myśl zresztą założeń idiomatografii.

Pięćdziesiąt dwie pieśni, wypełniające tomik, staranną sztuką drukarską wykonany, powędrują do niejednego plecaka, by towarzyszyć żołnierzowi naszemu w marszu do Ojczyzny. Świadomość tego stanowi dla autorów najwyższą niewątpliwie nagrodę za ich trud i pracę, wykonaną w warunkach wyjątkowo ciężkich.

Kiedyś, po latach, gdy ręce dziecka polskiego sięgną po mocno przyniszczony tomik śpiewnika „W marszu", widnieć może na nim będzie niejeden ślad wrażej kuli, niejedna wyblakła plama po kropli krwi serdecznej, przelanej na szlaku, który wiódł do Polski — niepodległej!

Juliusz Leo

BIBLIOTEKA KATOLICKO-SPOŁECZNA

Katolickie Duszpasterstwo Polskie w Palestynie od kilku miesięcy redaguje bibliotekę Katolicko-Społeczną, w programie której przewiduje spopularyzowanie literatury religijnej i społecznej. Dotychczas ukazały się następujące broszury:

1 Myśl Religijna w narodzie — Ks. arcybisk. Teodorowicz
2 O miłości ojczyzny — Ks. arcybisk. Teodorowicz
3 Katolicyzm, a czasy obecne — Ks. biskup Ottokar Prohaska.

W najbliższym czasie ukażą się następujące:

4 Istota katolicyzmu a człowiek dzisiejszy — prof. Dr Karol Adam
5 Moralność niezależna i jej zgubne skutki — prof. Dr Z. Kozubski

6 Moralność katolicka podstawą życia narodowego i państwowego — prof. Dr W. Wicher
7 Zepsucie obyczajów ruiną narodu — ks. biskup Wł. Jasiński
8 Czy jest Bóg? — ks. Stanisław Zaleski T. J.
9 Czy znasz siebie? — ks. biskup Bougaud
10 Czy znasz Boga? — ks. biskup Bougaud
11 O nieśmiertelności duszy ludzkiej — ks. Stanisław Zaleski T. J.
12 Człowiek bez religii i Boga — ks. Biskup Bougaud
13 Rodzina bez Boga — ks. biskup Bougaud
14 Upadek rodziny drogą do upadku społeczeństwa — ks. J. Rostworowski T. J.
15 Społeczeństwo bez Boga — ks. biskup Bougaud
16 Państwo bez Boga — prof. Dr A. Borowski

Broszury w cenie 50 milsów za egzemplarz nabywać można w Katolickim Duszpasterstwie w Palestynie, Jerozolima P. O. B. 1241 Stary Dom Polski.

Kierownik Katolickiego Duszpasterstwa Polskiego w Palestynie

Ks. kan. Stefan PIETRUSZKA

NASZA PRASA

ZNICZ. Pod takim tytułem ukazał się miesięcznik hufca harcerskiego w Koji, wydany przez Referat prasowy tegoż hufca. Są w nim przedruki i prace oryginalne w liczbie 17: dla harcerzy i zuchów, a przewija się w nich mocna i twórcza postawa młodzieży harcerskiej w Koji, tak pięknie wyrażona przez dhnę F. Morawską w artykule wstępnym, że uważamy za konieczne przytoczyć te słowa dla całej młodzieży harcerskiej.

— Obecnie, gdy Polska potrzebuje dzielnych ludzi, nie wystarcza tylko mówić i załamywać ręce nad cierpieniami innych, słać westchnienia za tych, którzy walczą — trzeba codziennym życiem dopomóc w tej walce. Waszym udziałem jest w dogodnych i spokojnych warunkach uczyć się pracować nad sobą, aby być dobrym i dzielnym Polakiem.

Prosimy o następne numery miesięcznika.

GŁOS HARCERZY, pismo młodzieży harcerskiej hufców w Tengeru, w numerze 12 przynosi materiał w związku z okresem świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Tęsknotę za Polską i głęboką wiarę w lepsze Jutro najlepiej oddaje wiersz:

— Lecz my, dzieci, wiemy w duszy na dnie, chociaż o tym nie mówimy nikomu, że nam jeszcze takie szczęście przypadnie — dobre święta w nowym własnym Domu!

A właśnie, o tym trzeba mówić i podtrzymywać ludzi na duchu!

Artykuł phm. J. Daszkiewicza o Neapolu z cyklu Wojennym Szlakiem A.P.W. świadczy o żywych kontaktach naszych harcerzy. Pismo redaguje i wydaje Krąg Starszoharcerski ZNICZ w Tengeru. Gratulujemy!

ECHO Z DIGGLEFOLD w numerze 4 na wstępie zamieszcza podsumowanie pracy swego hufca (harcerek) od czasu reorganizacji — 15. IX. 1944 r. Podajemy je w dziale kroniki. Dalej idzie artykuł o Walczącej Warszawie, która swym bezprzykładnym bohaterstwem obudziła sumienie świata, następnie: opis zbiórki 2 drużyny, ZADUSZKI, OGNISKO, 11 LISTOPAD, później opis wycieczki zastępu, WYSTAWA NASZYCH ROBÓTEK (również zamieszczamy w SKAUCIE), a na zakończenie I ZNOWU NADCHODZĄ ŚWIĘTA. — Oby ostatnie już na tułaczce. Komitetowi Redakcyjnemu tego pożytecznego miesięcznika należy się uznanie za pracę.

SKAUT od stycznia 1945 roku staje się pismem młodzieży. Ma on także ułatwić pracę zastępowemu i drużynowemu. Wypowiedzi instruktorów harcerskich, starszych harcerzy oraz głosy osób z poza naszej organizacji a interesujących się zagadnieniami wychowawczymi, znajdą się na szpaltach wydawnictwa pt. HARCERSTWO NA WSCHODZIE, które ukazywać się będzie co drugi miesiąc pod redakcją hm. Zygmunta Szadkowskiego.

Z powodu strajku pracowników cynkografii nie mogliśmy wydać numeru styczniowego, dlatego niniejszy Nr 1-2 wydajemy w podwójnej objętości.

Pismo młodzieżowe winno być zbiorawą pracą samej młodzieży. Prosimy więc o większy udział w tej pracy. Wskazówek udzielą ją nasi wizytatorowie oraz instruktorzy.

Prosimy o nadsyłanie do Komendy ZHP. na Wschodzie po 2 egzemplarze wszystkich wydawanych przez poszczególne komórki naszej organizacji periodyków, broszur i ulotek.

REDAKCJA



ZADANIE

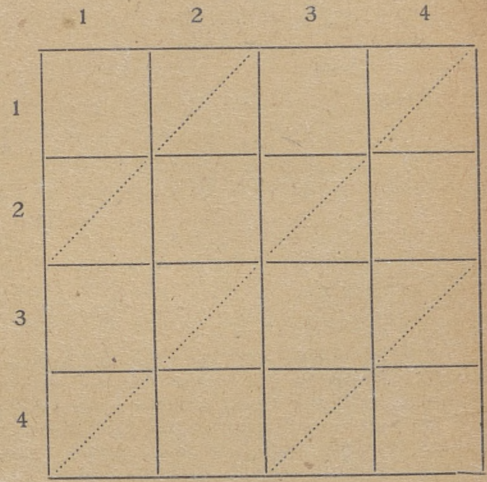
	Ł	O	
	Ł	O	
	Ł	O	
	Ł	O	
	Ł	O	
	Ł	O	
	Ł	O	
	Ł	O	
	Ł	O	

Spróbujcie odnaleźć takich dziewięć wyrazów, któreby składały się z czterech liter, przy czym miały dwie środkowe jednakowe.

Za trafne rozwiązanie ZADANIA, lub KRZYŻÓWKI przeznacza się po jednej książce w cenie 400 milsów, za PIRAMIDĘ — książkę pt. OLSZYNKA GROCHOWSKA. Kto rozwiąże wszystkie — otrzyma powieść KRZYŻACY w oprawie.

Termin ostateczny nadsyłania rozwiązań — 30 kwietnia 1945 roku.

KRZYŻÓWKA



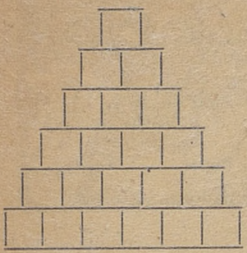
1 rząd pionowo i poziomo = inaczej ziemia
2 „ „ „ = reszta z mętnej wody
3 „ „ „ = górskie zwierzę
4 „ „ „ = imię męskie

W każdym z zakreślonych kwadracików (wzdłuż linii) winny być jednakowe litery.

Czy umiesz pamięciowo mnożyć dowolną liczbę dwucyfrową przez 11? Np. masz liczbę 24 i chcesz ją szybko pomnożyć w pamięci przez 11. Między 2 (pierwszy składnik) a 4 (drugi składnik) wstaw sumę tych cyfr, tj. 6 (2 + 4) a otrzymasz iloczyn 264. Sprawdź, czy wynik jest dobry i pomnóż przez 11 w podobny sposób w pamięci liczby: 31, 43, 52, 72, a dla odmiany zastanów się, czy dałbyś sobie radę i ustalił regułę przy mnożeniu przez 11 takich liczb dwucyfrowych, jak: 39, 47, 56, 68, 92 i inne.

HUMOR

— Przecież 6 i 6 to będzie zawsze 12, tak, czy nie, Janku?
— Nie zawsze, Marylko!
— ? ? ? ?
— Bo jeżeli napisać 6 i 6 obok siebie, to będzie sześćdziesiąt sześć. No, nie?



PIRAMIDA

W pierwszą górną kratkę wpiszcie jedną samogłoskę. Następnie, dodawszy do niej spółgłoskę, uformujcie wyraz, oznaczający miarę powierzchni. Po dodaniu do tego jeszcze innej litery — stworzenie wodne, potem statek Noego, dalej sprzęt kuchenny, wreszcie pojazd.

RZECZY CIEKAWE

Tajna broń

„40 minut zmieniły bieg wojny“ Tak nazywany jest dokonany nocą 17 sierpnia 1943 r. nalot 600 ciężkich bombowców R. A. F. na stację doświadczalną Luftwaffe w Peenemuende nad Bałtykiem, o 100 km na płn.-wsch. od Szczecina.

Od chwili, kiedy Hitler stracił nadzieję na pokonanie W. Brytanii siłą swego lotnictwa, postanowił to uczynić za pomocą „tajnej broni“. Kwiat nauki niemieckiej — kilka tysięcy profesorów, inżynierów i techników zostało zgromadzonych w wielkim obozie, ukrytym wśród lasów i otoczonym drutami, po których przepływał prąd o wysokim napięciu. Rozpoczęła się gorączkowa praca, której celem miało być przygotowanie ofensywy „latających bomb“ na Anglię zimą 1943/44.

W lipcu 1943 r. wywiad brytyjski ostatecznie ustalił, jak ważne doświadczenia odbywają się w Peenemuende. Na tej podstawie specjalny komitet gabinetu brytyjskiego, zajmujący się tą sprawą, uchwalił natychmiastową akcję. Wybrano pierwszą noc pełni księżycowej. Lotnicy przed startem zostali poinformowani o niezwykłej ważności ich misji. Załoga obozu w Peenemuende zupełnie nie oczekiwała ataku. Samoloty sojusznicze stale bowiem przelatywały w pobliżu, kierując się ku różnym celom, ale Niemcy byli pewni, że nikt nie zna ich tajemnicy. To też lotnicy brytyjscy napotkali tylko na bardzo słaby ogień artylerii p.-lotniczej.

Następnego dnia wywiad lotniczy ustalił szkody, spowodowane bombardowaniem: z 45 domów, w których mieszkali uczeni, połowa była zrównana z ziemią, reszta silnie uszkodzona; 40 budynków, mieszczących laboratoria i warsztaty — zniszczono; 50 — uszkodzono. Z 7.000 uczonych, którzy pracowali przy doświadczeniach, zabito 5.000, w tym szefa sztabu Luftwaffe oraz kierowników jej działu naukowego i technicznego.

Dzięki temu jednemu nalotowi Niemcy musieli rozpocząć od nowa swoje badania. To spowodowało, że latające bomby, zarówno V-1 jak i V-2, zostały użyte o przeszło pół roku później niż pierwotnie zamierzano i nie zdołały przeszkodzić armiom sojuszniczym w dokonaniu inwazji na kontynent, co miało być ich głównym celem.

Cudowny środek

Dobre wiadomości nadeszły z najważniejszego dla ludzkości frontu — frontu walki z bakteriami. Jak wiadomo, nowy cudowny środek bakteriobójczy — penicillina była dostępna jedynie dla żołnierzy armii sojuszniczych, rannych na froncie. Powodem tych ograniczeń była niedostateczna produkcja. Jakkolwiek wynalazcą penicilliny jest Anglik — Alexander Fleming który niedawno otrzymał nagrodę Nobla, to ze względu na wielkie trudności techniczne masową produkcję zorganizowano tylko w Stanach Zjednoczonych.

W połowie roku 1943 ta produkcja była tak mała, że wystarczała tylko na leczenie miesięcznie około 1.000 poważnych wypadków. Nic dziwnego, że w tym stanie rzeczy penicillina była dobrodziejstwem tylko dla nielicznych.

Od tego czasu produkcja wzrastała z błyskawiczną szybkością z miesiąca na miesiąc. Ostatnio ogłoszono, że w końcu b. r. będzie ona tak wielka, iż wystarczy dla leczenia miesięcznie 250 tys. przypadków. Dotyczy to tylko Ameryki, ponad to inne fabryki budowane są w Anglii. W ciągu roku cena peniciliny spadła sześciokrotnie i należy oczekiwać dalszego jej spadku.

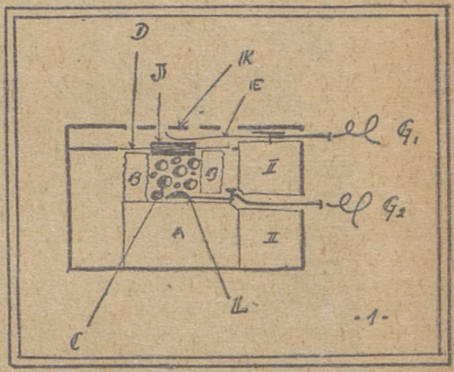
JAK ZBUDOWAĆ TELEFON

MATERIAŁY: Okrągłe pudełka, stare baterie, cienka blacha stalowa, pluskiewki stalowe, gruby drut żelazny, szpulka od nici, papier pergaminowy, cienki izolowany drut miedziany.

Telefon współczesny różni się od pierwszego telefonu Bell'a tym, że mikrofon i słuchawka są odmiennie zbudowane, podczas gdy w telefonie Bell'a mikrofon mógł spełniać rolę słuchawki i na odwrót.

MIKROFON — rysunek Nr 1.

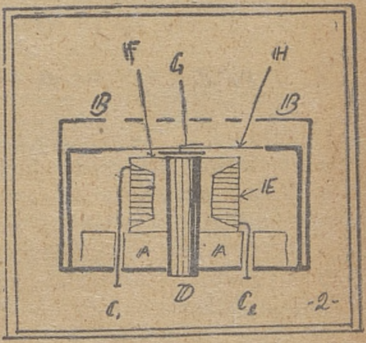
A Blok drewniany służący jako podstawa.
B Walec z waty utrzymujący w miejscu kawałeczki węgla retortowego C.
C Kawałki węgla retortowego że starej baterii.
D Napięta membrana z papieru pergaminowego.
E Blaszka stalowa służąca jako styk.
F Pluskiewka.
G_1 G_2 Kable
I Bloczek drzewa.
J Blaszka przymocowana do membrany D.
K Podziurkowany wierzch pudełka ochronnego.
L Blaszka służąca jako styk.



Zadaniem mikrofonu jest przetworzenie drgań głosowych na pulsacje prądu elektrycznego. Osiągamy to przez odpowiednie zmienianie oporu w mikrofonie. Opór jest tym większy, im dźwięk jest słabszy. W naszym mikrofonie prąd z blaszki E przez blaszkę J dostaje się na węgielki C, które w zależności od nacisku membrany D przewodzą prąd gorzej lub lepiej. Po wyjściu prądu z mikrofonu przez G 2 powstaje już prąd pulsujący, o co nam właśnie chodzi. Aby zamienić pulsację prądu z powrotem na dźwięk, musimy użyć słuchawki.

SŁUCHAWKI — rysunek Nr 2.

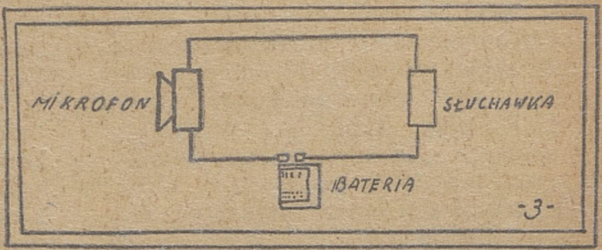
A Krążek drewniany z wywierconymi trzema otworami, użyty jako podstawa.
B Pudełko ochraniające.
C_1 C_2 Kable.
D Rdzeń elektromagnesu, składający się z wiązki drutu żelaznego.
E Zwoje drutu elektromagnesu.
F Szpulka od nici.
G Pluskiewka stalowa.
H Membrana.



DZIAŁANIE SŁUCHAWKI — Pulsujący prąd, przechodząc przez elektromagnes, zmusza rdzeń D do przyciągania lub odpychania pluskiewki G, co powoduje dokładnie takie same ruchy membrany, jakie mieliśmy w mikrofonie. Mamy więc ten sam dźwięk.

Wykonanie mikrofonu i słuchawki może być różne. Zależy to od wiadomości technicznych i zasobów czytelnika. Załączone rysunki podają jeden z wielu sposobów zbudowania telefonu i powinny służyć jako przykład raczej niż wzór, którego musimy się trzymać.

Na rysunku 3 schemat połączenia mikrofonu ze słuchawką.



Marek KOSTKA, ćwik

KRONIKA



Uczestnicy zjazdu „Kresowej“ Pośrodku przewodniczący Rady ZHP. na Wschodzie pułkownik dyplomowany Stanisław SIELECKI

ZJAZD HARCERZY „KRESOWEJ“

Dnia 22 listopada 1944 roku w Predappio odbył się zjazd harcerzy, na który przybyły delegacje wszystkich oddziałów dywizji Kresowej.

Uroczystość rozpoczęto przywitaniem gości przez phm. Pawlaka Felicjana, skierowanym do przybyłych na zjazd: dowódcy Brygady Lwowskiej, płk. N. S. i do przewodniczącego Rady Z. H. P. na Wschodzie płk. dypl. S. S.

Po odśpiewaniu przez zebranych tradycyjnej piosenki *Płonie ognisko* zabrał głos przewodniczący Rady Z.H.P. płk. dypl. S., wyrażając w krótkich słowach swe zadowolenie z pracy jednostek harcerskich, które tyle trudności muszą przezwyciężać na swej drodze.

Krótka gawęda phm. Włodzimierza Ruszkowskiego na temat *Istota harcerstwa* pozwoliła zebranym zorientować się w celach Związku Harcerstwa Polskiego, w roli jaką w nim odgrywają harcerze — żołnierze i w ich zadaniach, jakie mają w Związku do wykonania.

Po gawędzie ponownie przemówił przewodniczący Rady Z.H.P., który nakreślił szkic ostatnich wypadków oraz militarne perspektywy na przyszłość. Następnie mówca podkreślił, że mimo dużego wyczerpania fizycznego, mimo dużych strat wśród harcerzy — żołnierzy, nie wolno im upadać na duchu, a życiem ich winien kierować optymizm i silna wiara w zwycięstwo.

Oficjalną część zjazdu zakończono wspólnym kręgiem, odśpiewaniem *Wszystko co nasze* oraz wspólną fotografią.

Pozdrowienie harcerskie *Czuwaj* i serdeczny uścisk dłoni były dowodem prawdziwie miłej atmosfery, w której rozeszła się brać harcerska z mocnym postanowieniem dalszej pracy nad sobą i do krzewienia idei harcerskiej w swym otoczeniu.

W. Ruszkowski, phm.

INDIE

W dniu 8. XI. 1944. r. powiększyło się grono waliwadzkich zuchów, bo zostały założone 2 nowe gromady „KRECHOWIAKÓW" i „PSZCZÓŁEK"

W dniu 19. XI. 1944. r. zuchy obchodziły uroczyście „święto latawców". W konkursie na najładniejszy balon pierwsze miejsce zdobył latawiec „DYWIZJON 303". Usiane latawcami niebo było dowodem ogromnego zainteresowania zuchów.

26. XI. 1944. r. odbyły się wielkie turnieje, na których zuchy mogły się popisać swymi umiejętnościami, a 3. XII. 1944. r. wszystkie zuchy wymaszerowały gromadami poza obóz dla zwiedzenia palmowego gaju.

Dnia 5. XII. do Valivade zawędrował św. Mikołaj, z niecierpliwością oczekiwany przez zuchów. Staruszek w asyście anioła i diabła objeżdżał świetlice, rozdając liczne podarki i mniej liczne rózgi.

W wigilię święta M. Boskiej, 7. XII. wszystkie gromady zuchów wzięły udział w uroczystej modlitwie przed kapliczką Niepokalanego Poczęcia.

W dniu 8, 9 i 10 grudnia Krąg Wodzów Zuchowych urządził wystawę Palestyny. Wystawa wzbudziła wielkie zainteresowanie wśród mieszkańców osiedla. Wystawę zwiedziły również wszystkie szkoły powszechne, korzystając z dokładnych objaśnień hm. Peszkowskiego. ELA

AFRYKA

IFUNDA

W czasie od 2-8 października odbył się w osiedlu Ifunda trzeci już w Afryce Wschodniej Centralny Kurs Harcerski. W kursie wzięło udział 81 uczestników z osiedli Kidugala, Morogoro i Ifunda w Tanganyice, zorganizowanych w dwa obozy: obóz harcerek 52 uczestniczki i obóz harcerzy 29 uczestników. Bogaty program kursu obejmował wykłady, ćwiczenia i gry polowe.

Najwieksząą grą polową kursu i rzeczywiście udaną był zlot gwiazdzisty w Ifundzie. Instruktorzy i harcerze, wyruszywszy o określonym czasie z osiedli Kidugala, Morogoro i Tengeru, zjechali się w Ifundzie niemal jednocześnie, z dokładnością do 1 godziny. Na warunki komunikacyjne Tanganyiki jest to nie lada wyczyn organizacyjny. Kurs zakończono w dn. 8. x. 44r. wspólnym ogniskiem. Piękną gawędę wygłosił ksiądz dziekan Słapa Wł, kapelan Harcerstwa w Afryce. Po gawędzie grupa harcerzy złożyła przyrzeczenie harcerskie.

Na ognisku byli obecni p. Milczyński, Del. Min, S. Wew., komendant osiedla mjr. Drought, kierownik osiedla inż. Polkowski oraz inni przedstawieiele polskich i angielskich władz miejscowych. Szybkie i sprawne zorganizowanie międzyosiedlowego kursu było możliwe dzięki pomocy dyrektora uchodźców w Tanganyice p. Penningtona i przedstawiciela Del. M. P. i O. S. inż. Kuczyńskiego.

W Morogoro, Ifundzie i Kidugali powstają, względnie są rozszerzane swietlice harcerskie, wyposażane przez fundusz „War Relief Services".

W Kidugali odbył się w dniach 10-13 X. 1944r. Kurs Nauczycielski o wychowaniu harcerskim, zorganizowany przez Del. Min. W.R. i. O.P.

JOHANNESBURG

Dnia 23 października 1944 roku w Johannesburgu druhna Bożena Trzcińska wygłosiła w języku angielskim referat pt. „POLISH GIRL-GUIDING" dla członkiń żeńskiej drużyny im. „First Johannesburg Y.M.C.A. RANGER COMPANY".

Dodać należy, że i przedstawiciele innych narodów wygłaszają swe wykłady i referaty w tej organizacji. Pierwszy wykład wygłosiła Francuzka. Referat druhny Trzcińskiej zyskał duże uznanie.

DIGGLEFOLD

Hufiec harcerek w Digglefold liczy 135 osób: 2 drużyny wędrowniczek i 1 drużynę harcerek.

W okresie od 15. IX. 1944, tj. od reorganizacji drużyn, odbyto ogółem 12 zbiórek, na których poruszano aktualne zagadnienia, tak harcerskie jak i ogólno-społeczne. Urządzono 5 ognisk, z których 2 były przeznaczone dla publiczności, 3 natomiast odbyły się w ścisłym gronie harcerek.

Harcerki wszystkich drużyn posiadają już stopień pionierki, drużynowe zaś stopień samarytanki. Ponadto zastępy obu drużyn wędrowniczek specjalizują się w określonym dziale pracy. Dotychczas najsprawniej funkcjonują zastępy: introligatorek, szwaczek, hafciarek, trykotarek, korespondentek i redaktorek, ponieważ te mają najlepsze warunki do wykonywania swej pracy.

Dwukrotnie przeprowadzono bieg na stopnie i sprawności harcerskie, w wyniku którego przyznano ogólnie stopni 39, sprawności 120.

Należy zaznaczyć, że cały ruch harcerski na terenie Digglefold jest otaczany nadzwyczaj serdeczną opieką zarówno ze strony samego Dyrektora p. gen. Zarzyckiego jak również i całego Grona Nauczycielskiego z p. Mazurówną, opiekunką drużyn na czele.

Dziś Harcerstwo w Digglefold objęło już 85% młodzieży gimnazjalnej.

Irena Sobocka, hufcowa

KRĘGI

KRĄG SYRYJCZYKÓW

Druhu Komendancie! List, Wiadomości Urzędowe i paczki z książkami otrzymałem. Dziękuję bardzo. Dziękuję też za list z życzeniami. Otrzymaliśmy dużo listów z różnych stron, dużo też wysłaliśmy. Na zbiórce na Nowy Rok przeczytyliśmy je wszystkie. Ciekawsze wklejamy do swojej kroniki, która już się kończy. Ciągle doklejamy i wszywamy kartki i... mało. Nasza tułaczka przewleka się, a kronika rośnie.

Stoimy w miasteczku, cudnie położonym wśrod gór, zawalonych śniegiem. Zima więc w całej pełni, tak jak u nas w Kraju. Przed pasterką o północy zrobiliśmy zbiórkę — podzieliliśmy się opłatkiem, otrzymanym z 3 kontynentów. Była cudna biała śnieżna noc. W kościele biły na pasterkę dzwony. Drogą maszerowały kolumny naszych żołnierzy i gromady Włochów cywilów.

Na Nowy Rok zrobiliśmy zbiórkę a na niej rachunek sumienia swój osobisty i Kręgu. Takie maleńkie pranie jest czasem dobre.

Z Kręgu naszego, jak pisałem, ubyło kilku druhów do innych jednostek, na ich miejsce przybyło kilku nowych, dawnych harcerzy z Polski, którzy przybyli do nas z armii niemieckiej.

Zasyłam Druhowi i całej Komendzie najserdeczniejsze harcerskie pozdrowienia.

CZUWAJ!

M. Nikon, hm.

